

# Odgłosy



Nr 4 (308)  
26. I. 1964 R.  
CENA 1 ZŁ

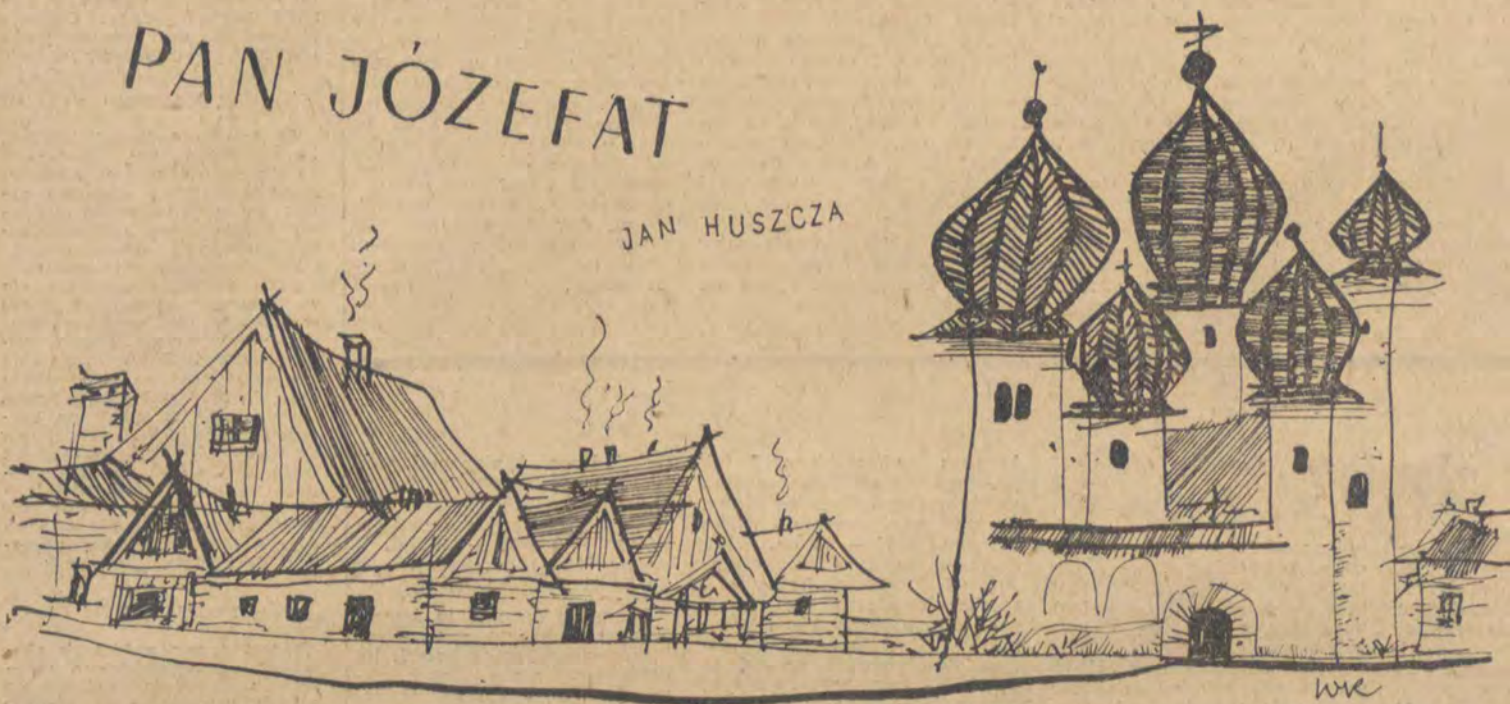
TYGODNIK

ROK VII

**W numerze: Katz o roku 1863 w Londynie • Piotrków w relacji Frejdlicha, Papiera, Raduszeńskiego i Szustra • liryki Gicgiera • Punch o Kasprzyku • co nowego w Krakowie? • recenzje • felietony • polonica**

## PAN JÓZEFAT

JAN HUSZCZA



Chyba najczęstszym tematem rozmów mieszkańców wsi Cwiecino był niejaki Sekowski. Innych nazywało się tu białoruskimi imionami i przezwiskami, o nim jedynie mówiono: „Pan Józefat...”.

Mieszkał właściwie nie we wsi, ale za gościńcem, za starymi brzożami na chutorze o tej samej co i wieś nazwie.

Gdyby ktoś chciał tę wieś sfotografować, uczyniłby to właśnie stając na brzegu gościńca przed zaniedbanym chutorem, otoczonym wysokim, próchniejącym chróśniakiem.

Przy drodze, prowadzącej z gościńca do wsi, stała biała cerkiewka o pięciu cebulastych, zielonych kopułach. Za niskim, gdzieniedzie wyszczerbionym murem sterczało kilka lip, rosły głogi. Na prawo ciągnęła się wieś, przecięta dwiema uliczkami i mnóstwem ścieżek. Chaty i gospodarze zabudowania były przeważnie kryte słomą. Wyróżniało się wielkością kilka domów, te były kryte gontem i miały od strony południowej duże ganki, tam po drewnianych mszejących kolumnkach pełzały chmiele, w pobliżu zaś rosły dziedzicze bzy, w czerwcu kwitnące drobnymi fioletowo-niebieskimi okiściami. Prawie za każdą chatą widziało się drzewa owocowe i krzaki czarnej porzeczki, lubiące cień i wilgoć.

Z lewej strony przemykało do wsi rozległe, miejscami podmokłe karczowisko, za którym zaczynał się niezbyt bujny zarost olsniaków, a dalej osinowe zagajniki, przechodzące w większy państwowy las, złożony przeważnie z liściastych drzew.

To karczowisko, zwęglone odzionki pni i nagie osiki — późną jesienią siwiejące pod chmurnym niebem — tworzyły widok, przyprawiający o jakiś bliżej nieokreślony smutek. To jakby przez ten smutek i włóczące się mgły, a nie przez karczowisko, sączyła się leniwa rzeczka — milcząca, połyskująca czernią.

Pan Józefat, który zresztą zwracał uwagę jedynie na zmiany atmosferyczne, był znany i w oddalonym o osiem czy dziewięć kilometrów miasteczku. Ci, co z takich czy innych względów znajdowali się w tarapatach finansowych, wyrażali się o nim pogardliwie: sknera, lichwiarz natomiast ludzie interesu, bez względu na swoją narodowość i wyznanie, mieli dla niego dużo szacunku i chętnie szukali z nim kontaktów. Pan Józefat częściej jednak utrzymywał kontakty z tymi, którzy ich nie chcieli, ale byli do tego zmuszani przez kłopotliwe sytuacje.

Wąsy, łysina i z roku na rok zaokrąglający się brzuszek nadawały mu wygląd człowieka od dawna ustatkowanego, co jednak niezupełnie odpowiadało prawdzie. Był starym kawalerem. W kościele często i przykładowie modlił się, ale gdzie indziej pozwalał sobie niekiedy na, jak sam się wyrażał, grzeszne wybryki: lubił konszachty z co ustępliwymi wdówkami lub mężatkami. Trzeba przyznać, że w takich wypadkach nie żałował wydatków na libacje, barchany i perkaliki. Zawsze też po takim „wybryku“, jeśli partnerką była mężatka, w najbliższą niedzielę dawał siedzącym pod kościołem parafialnym żebrakom jałmużnę, żeby modlili się za jej grzeszną duszę.

Zdaje się jednak, że te przygody były znacznie rzadsze, niż to wynikało z plotek. Znany bowiem był z tego, że poza interesami poważnie na nic nie miał czasu, ciągle znajdował się na rozjazdach.

W niektórych plotkach można było wytropić i pewne szczegóły z młodości. Podobno przed laty Sekowski, jeszcze jako młody człowiek, zakochał się w jakiejś pannie z „patrycjuszowskiej“, w pojęciu małego miasteczka, rodziny. Korzystał pono z pewnych względów, pierwsze kroki — przynajmniej w jego odczuciu — nie były źle widziane, ale ostatecznie, gdy doszło do próby jaśniejszego określenia zabiegów, został dotkliwie wyszydzony przez pannę i jej świeżego adoratora, jakiegoś inspektora szkół w „imperialnym“ lśniącym guzikam mundurze. Zrazu popadł w dewocję, a potem ochłonął i poświęcił się, jak mówiono, „zdobywaniu majątkowego znaczenia“. W naturze miał jakiegoś skłonności dusigrosza. Środki stały się celem i potem stale odkładał do bliżej nieokreślonego terminu myśl o ożenku, stale tłumaczył, że nie jest do tego dostatecznie przygotowany.

Życie wsi nie było ciekawe. Kiedy czasu nie pochłaniały prace w polu lub na gumnach, u ludzi wrażliwych dochodziło do głosu poczucie beznadziejności.

Natężenie beznadziejności szczególnie przybierało na sile późną jesienią. Przechodzący między wsią a chutorem trakt rozkisał, lśnił kałużami, w gliniastym błocie wozy grzęzły aż po osie. Nikt nie miał ani ochoty, ani potrzeby, żeby jechać do gminy lub do znajdującego się w przeciwnym kierunku miasteczka. Wschody i zachody słońca były czerwone, zapowiadające wiatr. Zielone kopuły cerkiewki każdego wieczora tonęły we mgłę, nad potarmoszoną trawą złościły się jedynie jagody głogów. Często padały

deszcze i wtedy ludzie wychodzili z ciepłego zaduchu izb tylko w razie ostatecznej konieczności. Jako ochrona przed deszczem służyły prowizoryczne baszky z worków.

Dla kilku młodszych mężczyzn z siola każdy taki dzień kończył się u Malwiny. Wieczory u Malwiny miały nawet swoją nazwę żartobliwą lub ironiczną — zależnie od tego, kto tą nazwą posługiwał się — „chudożestwiennyje wieczera“... Treść wieczorów stanowiła wódka, gitara, balałajki i zalecanki do gospodyni.

Malwina była krewniaczką miejscowego batiuszki. Przed paroma laty, po śmierci swojego męża, zjechała z jednego z miasteczek powiatowych, jako młoda i interesująca wdówka.

Pop chętnie udzielił jej kąta, ale ta jego życzliwość od początku nie miała poparcia w popadli. Pokrewieństwo Malwiny z popem nie było chyba dość zobowiązujące, a popadła nie bardzo ufala swemu mężowi o ryżej bródce, wołałaby usunąć pokusę z domu. Pokusa była brunetka — ładna, ale w sposób raczej banalny, miała twarz przypominającą twarz z reklamowych opakowań, niektórych pachnących mydełek. Gdy szła przez wieś, pod różowymi konchami uszu łyskały duże złote kółka kołczyków, kołysała się trochę przesadnie w dość szerokie biodrach, oblepionych cianką i kusa kolorową sukienką — zatrzymując na sobie łakome spojrzenia mężczyzn. Były,

dalszy ciąg na str. 6



## Sentymentu nie wolno lekceważyć

W serii miast, które znajdują szersze omówienie na łamach „Odgłosów“, na pierwszym miejscu postawiliśmy Piotrków. Temu miastu poświęcamy reportaże zamieszczone na stronach 3, 4 i 5. Dlaczego na pierwszy plan wysunęliśmy Piotrków, a nie inne równie interesujące miasto? Czy przemówiła za tym bogata przeszłość historyczna miasta? Czy przemówiły ciekawe tradycje walk rewolucyjnych, strajki robotników przed wojną i równie nieustępliwa postawa społeczeństwa piotrkowskiego wobec okupanta?

Piotrków jest tematem ciekawym. Można długo pisać o jego tradycjach historycznych; można snuć ciekawe rozważania na temat miasta, które z „osiedla emerytów“ staje się poważnym ośrodkiem przemysłowym. Hasło Piotrków zawiera w sobie więcej zagadnień niż zostały one tutaj zasygnalizowane. Zapytajmy się, co wiemy o tym mieście, co wiemy o jego powszednim dniu, co wiemy o jego mieszkańcach, jakie związki łączą to miasto z Łodzią i z resztą Polski, Piotrków odgrywa poważną rolę w gospodarce energetycznej rejonu łódzkiego. Ośrodek piotrkowski, który specjalizuje się w produkcji przędzy bawełnianej, szkła, barwników, wyrobów drewnianych, należy dzisiaj do ważniejszych ośrodków przemysłowych. Wiadomo, że rozwijający się stale przemysł miasta potrzebuje dopływu wykwalifikowanych robotników i inżynierów. Jaką wobec tego rolę ma do spełnienia Łódź ze swoimi wyższymi uczelniami i licznymi szkołami zawodowymi?

W rejonie przemysłowym łódzkim oprócz Piotrkowa, (no i przede wszystkim oprócz Łodzi) do ważniejszych ośrodków należy Tomaszów, Kutno, Radomsko. Ale w tymże rejonie znajdują się także miasta jak Wieruszów, Pajęczno, Wieluń, Rawa. Są to miasta w stosunku do tamtych zacołane gospodarstwo. Czy to, co się dzieje w Wieruszowie lub Pajęcznie, jest obojętne dla Łodzi i Piotrkowa? I czy jest obojętne dla Warszawy? A to, co się dzieje w Piotrkowie jest obojętne dla Wieruszowa? Pytania oczywiście należą do gatunku retorycznych. Ale trzeba sobie powiedzieć, że uprzemysłowienie poszczególnych rejonów jest związane z przekreśleniem zacołania gospodarstwa takich powiatów jak wieruszowski i pajęczański. I że to, co się dzieje w poszczególnych miastach i miasteczkach musi obchodzić inne miasta, choćby pozornie nie związane ze sobą żadnymi niemi.

Można postawić zarzut, że Piotrków wybraliśmy przypadkowo. Ale ten przypadek jest uzasadniony. Przecież Piotrków jest tym miastem które spełnia coraz większą rolę w gospodarce naszego regionu; które reprezentuje swoimi wyrobami Polskę w krajach Europy, Ameryki, Afryki, Bliskiego Wschodu, Azji; które wreszcie, jak niegdyś, znowu staje się jednym ze „znaczniejszych miast Rzeczypospolitej“. I że jest to miasto, które wszyscy darzą sentymentem. A sentymentu nie wolno również lekceważyć.



# odgłosy W świecie

## ZANZIBAR - zajrzyjmy do encyklopedii

Archipelag składający się z wyspy Zanzibar (1.658 km kw. 160.000 mieszkańców) i Pemba (984 km kw., 120.000 mieszkańców) oraz kilku małych wysp położonych w odległości 36-46 km od wybrzeża Tanganiki. Ludność murzyńska (ponad 200.000) należy do grupy językowej Bantu, używa narzecza Swahili. Arabowie (około 45.000) stanowią feudalną warstwę posiadaczy ziemskich. Hinduści (16.000) zajmują się handlem, podobnie jak nielegalni Europejczycy (1.000).

Zanzibar już w X w. był kolonią i bazą arabską do handlu z Indiami i Dalekim Wschodem. Na początku XVI wieku opanowany został przez Portugalczyków, następnie przeszedł w posiadanie imamów Muskatu, stając się ośrodkiem władzy arabskiej na całym obszarze wschodniej Afryki. W roku 1890 Zanzibarowi narzucono

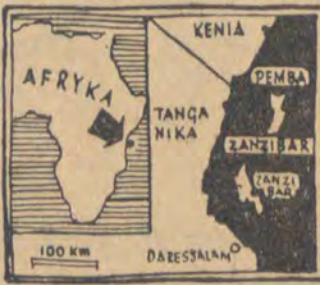
został status protektoratu angielskiego.

Anglicy, dla których Zanzibar był kluczową bazą kontrolującą Afrykę i Ocean Indyjski, rozdzielili archipelagiem w myśl wypróbowanej zasady „divide et impera”. W ten sposób przetrwał aż do dziś stary konflikt między miejscową feudalną arystokracją arabską a czarną ludnością tubylczą.

W roku 1957 powstała na archipelagu postępową partia polityczną zrzeszającą Afrykanów i tubylców pochodzących ze szczepów Shirazi. Partia ta o nazwie ASP ogłosiła program polityczny, zmierzający do likwidacji kolonializmu i feudalnych przywilejów ludności arabskiej, zrzeszonej w reakcyjnej partii nacjonalistycznej ZNP.

U schyłku ubiegłego roku Zanzibar uzyskał niepodległość.

Anglicy przekazali jednak władzę nad archipelagiem znienawidzonemu feudalowi arabskiemu 33-letniemu sultanowi Seyyid Jamszid Bin Abdullachowi. Rewolucja styczniowa obaliła jego rządy i ustanowiła Republikę Ludową Zanzibaru i Pemby.



## notatki na marginesie

### KOMU WIZJA?

Obowiązujące amerykańskie ustawy emigracyjne stanowią dyskryminację w stosunku do wielu narodów — oświadczył prezydent Johnson na spotkaniu z kongresmenami. — Tak zwane kwoty emigracyjne należy zmodyfikować, aby stały się „sprawiedliwe”.

Wypowiedź jest znamieną i stanowi obecnie przedmiot żywego zainteresowania polityków. Kwoty emigracyjne ustalone w USA 40 lat temu, favorując nimi w sposób jaszkrawy Irlandię oraz kraje germańskie. Pula emigracyjna dla Irlandii (2,8 miliona mieszkańców) jest bez porównania wyższa, niż dla całej Azji z jej 1,5 miliardem mieszkańców.

Prezydent Johnson proponuje, by o tym sędzi emigranci zostali wpuszczeni do USA, decydując nie kraj pochodzenia, lecz kwalifikacje zawodowe i to czy emigrant posiada w Stanach bliższą rodzinę. Ciekawa propozycja, czy jeszcze jeden „balon” przedwyborczy?

### „TOMMIES”

Za czasów królowej Wiktorii „Pax Britannica” spoczywał na bagnietach 500.000 żołnierzy brytyjskich. Dziś angielska armia zmalała do 182.000 żołnierzy i składa się, jak w Islandii, jedynie z ochotników.

Rozmieszczenie tej armii: 56.000 żołnierzy znajduje się w Niemczech zachodnich, 10.000 w Borneo, 6.000 w Hong Kongu, 5.500 w Adenie, 5.000 w Kenii (wciąż jeszcze), 6.000 na Cyprze. Desant na Cypr obnażył słabość militarną Anglii. „Strategiczne rezerwy” na Wschodzie Brytyjskich zmniejszyły się wskutek tej operacji z 12.000 „Tommies” do 5.000. Stojem wielkie ambicje wielkiego niegdyś mocarstwa i małe możliwości. Anglię już nie stać na odgrywanie roli, którą odgrywał by chciała.

### TRUJĄCY DYM

Raport grupy wybitnych ekspertów amerykańskich o szkodliwym wpływie nalagowego palenia papierosów na zdrowie i długość życia, stoi w centrum uwagi publicznej większości krajów.

Rząd francuski już wkrótce podejmie akcję, której celem jest nakłonienie palaczy, by palili wyłącznie cygara lub fajkę.

Wielką kampanię przeciw nalagowemu paleniu przygotowują rządy Norwegii, Danii, Holandii.

W Japonii trwa rozierka. Przemysł tytoniowy jest w tym kraju państwowym monopolem. Rzecznik rządu japońskiego złożył więc takie oświadczenie: — Niczego nie zdecydowaliśmy. Mamy własnych naukowców i prowadzimy własne badania naukowe...

### FARMERZY I FABRYKANTY

Co jest dobre dla amerykańskich farmerów — pisze angielski dziennik „Daily Mirror” — nie może być złe dla angielskich fabryk produkujących autobusy. Oni sprzedają autobusy komunistom, my autobusy. Niechaj rząd wyznał Amerykanom nasz punkt widzenia...

## ZANZIBAR: po rewolucji

Archipelag dostarczający do niedawna 80 proc. światowej produkcji goździków, w ostatnich latach wzbudzał coraz ostrzejsze apetyty już nie tylko angielskie ale i amerykańskie. Z przyczyną zgoda niekulinarnych. Jak niegdyś, Zanzibar jest i dziś kluczową pozycją do panowania nad Oceanem Atlantyckim. Stąd zapewne i amerykańska penetracja, założenie bazy kontrolnej programu kosmicznego,

wreszcie tajne dwu i trzy stronne umowy z sultanem, marionetkowym władcą wysp.

Nim jednak powstały w Zanzibarze bazy wojenne, doszło do wybuchu od dawna wzbierającej burzy. Zdelegalizowanie przez sultana radykalnie lewicowej partii Umma stało się tylko przysłowiową iskra.

Błyskawiczne zwycięstwo rewolucji zaskoczyło Amerykanów, ale już nazajutrz pra-

sa amerykańska utartym trybem zaczęła urabiać światową opinię publiczną.

Stuart Lillcoe, pracownik ambasady Stanów Zjednoczonych, po przybyciu do Dar el Salam, złożył publiczne oświadczenie iż obalające znienawidzone rządy sultana Bin Abdullacha tłumy Murzynów walczyły pod dowództwem (!) emisariuszy kubańskich.

Inny z uciekinierów stwierdził, iż wśród zrewolucjonizowanego tłumy widział ludzi ubranych w mundury kubańskie i (!) „brodatych, jak sam Fidel Castro”. Pełni niedowie-

rzania dziennikarze usłyszeli, że Kubańczycy wydawali tłumom tubylczym rozkazy po hiszpańsku, a więc w języku zupełnie na wyspach Zanzibaru nieznanym.

Tymczasem sytuacja ustabilizowała się i mimo parugodzinnych zaciętych i krwawych walk, żaden Europejczyk nie doznał krzywdy. Na czele nowego rewolucyjnego rządu stanął szek Abdel Karume, przewodniczący opozycyjnej partii ASP. Wezwał on ludność do podjęcia normalnej pracy, a wkrótce potem nowy rząd ogłosił manifest zapowiadający w dziedzinie spraw we-

wewnętrznych daleko posunięte reformy społeczne, a w polityce zagranicznej aktywny neutralizm.

Z tym pojęciem trudno jednak pogodzić się Stanom Zjednoczonym. Wydałony z Zanzibaru sultan uzyskał prawo azylu w niedalekiej Tanganice. Uprzednio Kenia odmówiła mu tego prawa. Po zejściu na ląd, sultan wygłosił wojownicze przemówienie, zaraz też odbył naradę z wyższymi oficerami brytyjskimi. Czy kryją się za tym plany zdławienia rewolucji na wyspach archipelagu zanzibarskiego?

## BUNDESWEHRA: Szron na głowie?



Doroczne dyskusje nad budżetem Bundeswehry sprawiły, że na lamy prasy zachodnio-niemieckiej przedostało się nieco wiadomości o aktualnej jej sile. A więc — w zgodzie

z budżetem, bez uwzględnienia tzw. paragrafów tajnych, Republika Federalna dysponuje aktualnie następującym etatem korpusu oficerskiego: generałów armii 3 generałów - poruczników 13 generałów majorów 44 i kontradmirałów 44 generałów brygady 117 i admirałów floty

pułkowników	725
podpułkowników	2272
majorów	5208
kapitanów	8691
poruczników	6077
podporuczników	3899

Mimo ogromnych wysiłków propagandowych młodzież nie garnie się zbyt do Bundeswehry. Powoduje to niepokojące procesy starzenia się

korpusu oficerskiego. I tak przeciętny wiek kapitana Bundeswehry wynosi 35 do 40 lat, podczas, gdy normy wieku przewidują 26 - 28 lat. Jak dowodzą te dane, zaczynając już od kapitana, kadra oficerska Bundeswehry wywodzi się z hitlerowskiego Wehrmachtu. Przeciętny wiek majora Bundeswehry wynosi 42 - 46 lat (wg. obowiązującej normy 28 - 32 lat).

Najstarsi wiekiem i funkcją są oczywiście zastępcy,

doświadczeni i niepomni nauki lat minionych wojny generałowie hitlerowscy — dziś dowódcy Bundeswehry. Ich obecny wiek 56 - 60 lat. A norma NATO przewiduje 40 do 50 lat.

Mimo, że dane te są jeszcze jednym dowodem opanowania Bundeswehry przez byłych hitlerowców, prasa zachodniemiecka stawia za fałszywą naukowością pytanie: dlaczego Bundeswehra tak się starzeje?

## PŁD. WIETNAM: Junta z St. Cyr

Sytuacja w Południowym Wietnamie w trzy miesiące po obaleniu reżimu Diema znów sprawia wiele kłopotów amerykańskim doradcom wojennym i sekretarzowi stanu Mc Namara, który niedawno z takim optymizmem wróżył rychłe zwycięstwo wojsk rządowych nad siłami partyzantki narodowo-wyzwoleńczej.

I tak ostatnio: Ledwie 35 mil od Sajgonu, w ramach akcji pa cyfikacyjnej doszło do bitwy sił rządowych i partyzantki. Mimo ol-

brzymiej przewagi militarnej wojsk rządowych, wspieranych przez amerykańskie lotnictwo, partyzanci stoczyli zwycięską walkę, odparli wszystkie ataki, a o zmroku zgodnie z taktyką wojny partyzantki wyszli z okrzężenia, unosząc bogate zdobycze wojenne.

A w pięć dni później, już tylko o 30 mil od Sajgonu znów doszło do bitwy. Tym razem amerykańscy doradcy wojskowi skrupulatnie opraco-

wali plan zasadzki, w której wpaść miał słynny z bohaterstwa 514 batalion Viet Congu. Na partyzantów miały spaść miazdzące uderzenia wyborowych wojsk rządowych i amerykańskich oddziałów desantowo-helikopterowych. Bitwa trwała cały dzień i wieczorem okazało się, że partyzanci raz jeszcze wykazali swą przewagę taktyczną, zdobyli wielkie ilości uzbrojenia, a plan amerykańskich dowódców pozostał njezrealizowany na papierze.

Jeden z amerykańskich dowódców (w stopniu general-

siem jest ich w Pld, Wietnamie już aż 13), ocenił sytuację lapidarnie. „Mają nas dość i nikt tu nie chce się ani bić, ani umierać według naszych wskazówek”.

W tej sytuacji bez rozgłosu zreorganizowała się junta generalska, rządząca Wietnamem od obalenia Diema. Na jej czoło wysunął się teraz 47-letni generał major Duon Van Ming, zwany „Wielkim Mingiem”. Jego najbliższym współpracownikiem został gen. Tran Van Dong, specjalista od spraw kontrowiadu. Gen. Ton Tat Ding, który był zaufanym współpracownikiem osławionego Diema, objął jako nowy minister spraw wewnętrznych do-

brze sobie znany resort polityki i nadzór nad osławionymi „wioskami strategicznymi”. Inni członkowie junty — jak się wydaje — odsunięci zostali od władzy.

Amerykańscy doradcy w Sajgonie, od dawna zupełnie dezorientowani, przyjęli początkowo te zmiany jako dowód konsolidacji sił antykomunistycznych. Wkrótce jednak na lamy zachodniej prasy przedostały się wiadomości, iż ta nowa — tym razem bezkrwawa — rewolucja pałacowa wysunęła na czoło grupę zdecydowanie profrancuska, której przywódcami są „Wielki Ming” oraz gen. Don, wychowanek słynnej francuskiej akademii wojskowej w St. Cyr.

## HENRYK KATZ

# LEGENDA SPRZED STU LAT

Powstanie polskie, które wybuchło w styczniu 1863 roku stanowi jeden z przełomów w historii narodu polskiego w XIX wieku. Jego dzieje są dokładnie znane i opisane, choć wciąż odbywają się i odbywać się będą rewizje faktów i interpretacji. Mniej znane są powiązania międzynarodowe powstania, lecz i pod tym względem sporo wiemy o historii dyplomatycznej, zaś stosunkowo mało o relacjach różnych społeczeństw i o pewnych ruchach związanych z polskim zrywem wyzwoleniczym. Niejednokrotnie spotykaliśmy się z twierdzeniem, że pomiędzy powstaniem styczniowym, a założeniem we wrześniu 1867 roku pierwszej wielkiej międzynarodo-

wej organizacji robotniczej istnieje ścisły związek. Twierdzenie to jednak poparte było najczęściej tak ubogim materiałem faktycznym, że czytelnicy czy słuchacze traktowali je raczej jako zabieg propagandy, aniżeli fakt naukowy. Również w kontrowersjach przeszłości dotyczących historii ruchu robotniczego sprawa ta występowała dość często. Najczęściej związku z polskim powstaniem doszukiwali się stronnicy Marksa, podczas gdy ich przeciwnicy traktowali ów związek jako legendę. Nie mogąc obecnie odkryć kulis tego sporu, postaram się zreferować pokrótce wyniki nowszych badań w tym zakresie.

Najbardziej interesujące wydają mi się reakcje społeczeństwa

angielskiego na wybuch powstania styczniowego. Po pierwsze — dlatego, że Anglia była wówczas największym mocarstwem świata, po drugie — nigdzie indziej w tym czasie opinia publiczna nie mogła się wyrażać tak swobodnie, po trzecie — jej historia i aktualna polityka nie miały tylu związków z Polską, co historia i polityka mocarstw kontynentalnych, a więc reakcje społeczeństwa były bardziej bezinteresowne. Wreszcie — fakt dla nas o dużej wadze: w żadnym innym kraju nie było tak licznej klasy robotniczej, a przeszła ona już długą historię walk i ruchów na rzecz swego podniesienia w społeczeństwie, a nawet — wyzwolenia socjalnego, żeby, tylko wspo-

mnieć czartyzm lat trzydziestych i czterdziestych.

I oto spotykamy się z interesującymi zjawiskami. W kraju tym, wśród ludzi różnych klas i przekonań kształtuje się niezwykle silny ruch sympatii i pomocy dla Polski. Emocje tak zwykle opanowane społeczeństwa były wzburzone i nasilone do stanu maksymalnego. W Izbie Gmin i w Izbie Lordów dochodzi do wielkich debat, a wszyscy mówcy występują za rwąca swe kajdany Polską. Z jednym wyjątkiem. Jest nim skrajny protestant Newdegate, który widzi w powstaniu polskim „papięską intrygę” (rzecz komiczna dla znawców historii tego okresu). Lecz ów stan entuzjazo był stosunkowo krótki. Rozwaga brała górę, a chłód rozumu i przyziemne kalkulacje pokonywały gorące serce i twórcę sumień. Tylko jedna klasa społeczna, robotnicy, nie tylko nie ustawała w swym poparciu, lecz nasilała coraz intensywniej swe wysiłki. Narwał ksiądz Władysław Czartoryski stwierdzając w swym „Pamiętniku 1860—1864”, że klasy wyż-

sze i średnie oziębyły w swym stosunku do Polski, dodawał: „Znaleźliśmy więcej serca i jasnego poglądu i sprawiedliwości w niższej klasie, w klasie robotniczej.” W Anglii, a w szczególności na terenie Londynu, ukształtował się odrębny propolski ruch robotniczy, z którego historii za cytujemy kilka najważniejszych faktów.

Ruchowi temu patronował główny ośrodek robotniczy skupiający przywódców związkowych — Londyńska Rada Związków Zawodowych (London Trades Council). W lokalu redakcji tygodnika robotniczego „Beehive”, („UI”) w Londynie ukonstytuował się nieoficjalny propolski komitet robotniczy, złożony z uznanych działaczy, prawie wyłącznie robotników, którzy swój wolny (a dość skąpy — w ówczesnych warunkach) czas od pracy poświęcali działalności społecznej pomagając nieraz koszty pieniężne. Największą wśród nich rolę odgrywali: szewc George Odger, murarze Potter i Howell, stolarze Cremer i Applegarts, robotnik kamieniarski Conolly. Oni to zwo-



**B**ył to jednopiętrowy, obszerny gmach, o wysokim dachu. Od strony południowej z murem ratusza łączyła się i ponad dach wznosiła okrągła wieża, w rodzącej baszty, dobudowana w 1611 roku kosztem powiatu piotrkowskiego. Była ona podzielona na górną i dolną i służyła za więzienie szlachty. W górnej, oświetlonej oknami, odsiadywała szlachta karę za mniejsze przewinienia, pokutę; za ciężkie zaś zbrodnie, jako to: zabójstwa, gwałty i najazdy, spuszczano winnych do dolnej wieży „in fundo”. Na parterze ratusza mieściło się archiwum grodzkie aż do czasu rozebrania gmachu, tj. do roku 1868.

Od niespełna stu lat nie było na Rynku Trybunalskim w Piotrkowie żadnego śladu po ratuszu. Dopiero w połowie ubiegłego roku przystąpiono do poszukiwania fundamentów rozebranego ongi budynku. Dogrzebano się do nich bez trudu; może to stwierdzić każdy, komu uda się spojrzeć na teren tych archeologicznych wykopów nieco z góry, z okna któregoś z kamienic okalających Rynek. Z ulicy widać tylko parkan, którym ogrodzono teren wykopaliska.

Prędzej czy później archeologowie obejrzą sobie dokładnie to wszystko, co zachowało się jeszcze ze starego piotrkowskiego ratusza i będą mogli odpowiedzieć na wiele pytań dziś jeszcze nie rozstrzygniętych. Zazdroszcze archeologom. Materiał, w którym pracują ma fascynującą cechę trwałości; po stu latach od chwili rozebrania ratusza można ręką dotknąć murów owej wieży, do której spuszczano winnych „in fundo”. Jakże inaczej wygląda sprawa z dokumentami pisanymi.

Dwa lata temu zbierałem materiały do historii Oddziału Gwardii Ludowej dowodzonego właśnie przez Franciszka Zubrzyckiego. Poprosiłem o pomoc grupę zeteme sowców z Technikum Przemysłu Szklarskiego im. F. Zubrzyckiego. Spotkaliśmy się raz i drugi, podsumowaliśmy swoje wiadomości i odczytaliśmy uzyskane informacje; niestety, były one żałośnie skromne. Pozwalały tylko na to, by zrekonstruować dzieje Oddziału jako całości, o poszczególnych jego członkach nie wiedzieliśmy prawie nic. Na 14 gwardzistów stanowiących ów pierwszy zorganizowany oddział GL sześciu znanych jest tylko z pseudonimów, a o czterech nie wiadomo zgoła nic. W rezultacie o 10 żołnierzach Oddziału wie się dziś tyle, co o Żołnierzu Nieznanym: wiadomo, że był, ale nie wiadomo, czy był młody czy stary, gdzie się urodził, co robił przedtem, nim ruszył na pole walki, kto czekał na jego powrót i kto się tego powrotu nie doczekał. Żywi ludzie stali się symbolami, które są godne szacunku ale trudno je pokochać jako że miłość wymaga konkretnych. Chciałbym nie mieć racji, ale boję się, że o Oddziale „Małego Franka” już zawsze będzie się mówiło tylko w ogólnikach, że nigdy już nie uda się ustalić, z jakich to ludzi składał

się ten oddział. Jedyne wyobrażenie może tę lukę wypełnić.

Spora część prawdy o ostatnim nawet ćwierćwieczu rozpraszają się i ginie. Czasem straty te dotyczą rzeczy ważnych — jak na przykład ta, o której wyżej wspomniałem; czasem gubią się w zapomnieniu błahostki. Coraz rzadziej słyszę powszechną jeszcze przed kilkoma laty nazwę skweru przylegającego do Bernardyńskiego Ogrodu. To ładny skwer: rosną na nim drzewa, szmerze fontanna podświetlana czasem kołorowymi światłami. Szczególnie w lecie jest tu zawsze ludno i myśle, że wielu młodszych mieszkańców Piotrkowa traktuje ten skwer w samym centrum miasta, jako coś oczywistego, normalnego i trwałego. Tylko starsi pamiętają, że stały tu kiedyś — wcale nie tak bardzo dawno — kilkupiętrowe domy, które splanowały w 1939 roku. Tylko starsi mówią o tym skwerze powiadając: „park na krzywdzie” bo istotnie ten miły fragment miasta powstał z wojennej krzywdy jaka miasto spotkała. Gdyby kiedykolwiek w przyszłości zachciało się komuś poprowadzić na skwerze archeol-



giczne wykopaliska — natknął się na pewno na fundamenty starych kamienic i ślady pożaru, który je zniszczył. Na ginącą już dziś nazwę nie natknął się jednak na pewno.

Obawiam się także, że ani łopata archeologiczna ani też pracownice kwerendy w archiwach nie zdołają zrekonstruować charakteru tego tłumu, który przewijał się po „parku na krzywdzie” w drugiej połowie stycznia 1945 r. Mroźne ale pogodne dni styczni-

# MIASTO DOBRYCH TRADYCJI

we 1945 roku były przełomowymi w historii tego miasta. I to nie tylko dlatego, że — podobnie jak i wielu innym miastom polskim — styczniowa ofensywa Armii Radzieckiej przyniosła Piotrkowowi wolność, przepędziła z miasta hitlerowców. W ciżbie przewalającej się ulicami Piotrkowa dominowały, oczywiście, emocje związane z wyzwoleniem ale

działanie i gnieźnienie stanowiły tu dominujące grupy. Byli to przede wszystkim przedstawiciele inteligencji i mieszczaństwa; swój pobyt w tym mieście traktowali jako czasowy, czekali przez te kilka lat na możliwość powrotu do domów. W tej sytuacji nie dążyli do mocniejszego związania się ze stałymi mieszkańcami miasta, tworzyli w nim jakąś odrębną,

w końcu 1944 roku „kilkakrotnie zawierano formalne porozumienia, które regulowały stosunki między oddziałami AL i AK w okręgu. Należy więc oddać sprawiedliwość tym, którzy przyczynili się do powstania takiej atmosfery.

Ale komu? Oczywiście, że nie ludziom, którzy w Piotrkowie przeżyli okupację w trybie sublokatorskim; nie oni bowiem decydowali o tym co się w mieście działo. To hutnicy piotrkowscy, piotrkowscy kolejarze i robotnicy piotrkowskich fabryk, to radykalizowani już od lat chłopcy piotrkowskich wsi narzucili całemu miastu i jego okolicy swój pogląd na to, że z wrogiem należy walczyć, że należy odrzucić hasło „stania z bronią u nogi”. Piotrkowskie oddziały AK nie odrzucały współpracy z AL. Dzięki postawie żołnierzy AL i szeregowego żołnierza AK nie doszło na terenie Piotrkowskiego do ostrych form walki między AK i AL, dzięki im właśnie można było realizować postulowaną przez PPR politykę unikania zatargów, mimo że organizacja piotrkowska PPR raz po raz doznawała dotkliwych ciosów ze strony okupanta i musiała odbudowywać swoją sieć organizacyjną.

Po styczniu 1945 roku wyjechało w Polskę z Piotrkowa kilka tysięcy ludzi, dla których możliwość przystąpienia do natchemniastowej współpracy z władzą ludową nie stanowiła problemu. Kilka dziesiąt tysięcy ludzi myślących podobnie zostało w samym Piotrkowie. Wszyscy oni, a w każdym razie większość z nich w mniejszym czy większym stopniu przyczynili się do przyspieszenia procesu integracji narodu wokół władzy ludowej. Niezależnie od wszystkich wątpliwości i oporów, niezależnie od polemik, jakie musieli przeczyc i przejść — wszyscy oni wiedzieli, że dogadać się można i trzeba. Tego nauczył ich Piotrków lat okupacji a — mówiąc ściślej — ludzie, których postawy decydowały o układzie stosunków w tym mieście i w tym okresie.

Być może, że Piotrków nie był wyjątkiem; być może iż podobne doświadczenia dawały swoim oku pacyjnym mieszkańcom i inne środowiska. Choćby nawet tak było to — myślę — nie uchybił nikomu przypominając to co działo się w Piotrkowie. Jako jeden z tych sublokatorów okupacyjnych, jeden z tych, których to miasto, jego mieszkańcy w jakimś stopniu ukształtowało, chciałbym przypomnieć jego rolę i miejsce w procesie jednoczenia naszego kraju.

Poszukiwania na Rynku Trybunalskim dotyczą gmachu, który przez 214 lat Rzeczypospolitej Szałacheckiej był widomym znakiem jej jedności; Trybunał urzędujący w Piotrkowie co roku przez 6 miesięcy był jedną z najtrwałszych w tym państwie instytucji. Nie ma, oczywiście, w Piotrkowie budynku, który równie wyraźnie przypominałby jednoczącą rolę, jaką Piotrków pełnił w okresie okupacji. Może skromny domek Kudyniuków przy ulicy Przedborskiej, miejsce, gdzie odbyło się pierwsze posiedzenie piotrkowskiego komitetu PPR, doczeka się zainteresowań badaczy.

EDWARD SZUSTER

łali na niedzielę Wielkiej Nocy, 15 kwietnia, wiec na rzecz Polski do Hyde Parku, zabroniony jednak przez policję. Udanym natomiast był wiec robotniczy w sali Saint James Hall, w centrum Londynu, w dniu 28 kwietnia. Najważniejszym jego rezultatem było ukonstytuowanie się deputacji, którą premier lord Palmerston przyjął w dniu 18 maja. Deputacja ta ma swe znaczenie i w historii społecznej Anglii: była to pierwsza w tej historii deputacja robotnicza przyjęta kiedykolwiek przez premiera państwa. Gdy stary, 79-letni premier kluczył w swej odpowiedzi, przyparł go do muru 25-letni William Cremer mówiąc: „Jesteśmy ludźmi czynu, miłordzie i doszliśmy do konkluzji, że jedyną drogą, by pomóc Polsce, jest wezwać Rosję do zaniechania swego postępowania.” Jeśli carat nie ustąpi, Anglia winna interweniować zbrojnie — konkludował mówca. Lecz stary polityk wykreślił się zrzeczym komunałem o „obowiązkach męża stanu.” Deputacja ta nie przylotowała żadnych rezultatów, lecz nie-

mniej wywołała szeroki oddźwięk w opinii angielskiej i obcej. Począł kształtować się ruch solidarnościowy wespół z ośrodkami emigracji polskiej, niemieckiej i włoskiej, oraz — co ważniejsze — wespół z robotnikami Francji. Ci przysłali swych delegatów na kolejny wiec propolski, który odbył się w tej samej sali — Saint James Hall — w dniu 22 lipca. Wiec ten, mający już wyraźnie międzynarodowy charakter, doprowadził do dwóch rezultatów. Jednym z nich było ukształtowanie się propolskiego ruchu robotniczego w ramy formalne: powołano do życia organizację pn. Narodowa Liga na rzecz Niepodległości Polski (National League for the Independence of Poland). Jej przewodniczącym był adwokat londyński, radykalny demokrat Edmund Beales, jeden z czołowych polonofilów angielskich XIX wieku, zaś członkami komitetu Ligii byli przeważnie działacze robotniczy, których spotykaliśmy poprzednio. Liga miała około 1000 członków, odbyła wiele wieców w Londynie i na prowincji, organizowała akcję pe-

towarzyszyli im także uczucia jakiegogarniają ludzi przed podróżą: niecierpliwość, nadzieja, niepokój. W pierwszej połowie 1945 roku liczba mieszkańców Piotrkowa zmniejszyła się o kilka lub kilkanaście tysięcy. Wyjeżdżali z miasta ci wszyscy, którzy znaleźli w nim czasowy — kilkuletni — azyl w okresie okupacji.

Około dwudziestu tysięcy wyśledzonych z terenów przyłączonych do Rzeszy mieszkało w latach okupacji w Piotrkowie: lo-

sublokatorską — rzecz można — kategorię. Kiedy po styczniu 1945 roku ujrzeli możliwość powrotu — szybko rozstawali się z Piotrkowem. Wrócili do swoich miast, do swoich domów z różnymi wspomnieniami o Piotrkowie. Była jednak w tych wspomnieniach pewna nuta powszechna a ważka.

Na sesji naukowej poświęconej XX rocznicy powstania PPR na terenie województwa łódzkiego Ryszard Nazarewicz wspomina, że

Wypada jeszcze zapytać, czym kierowali się robotnicy europejscy, w szczególności angielscy, o których przeważnie mówiliśmy, w swej tak nasilonej akcji propolskiej. Niejednokrotnie propagandyści proccy starali się przekonać robotników, że walczyć o Polskę walczą o interesy szlachty, a nie mas pracujących. Robotnicy nie dawali temu wiary, co więcej — szlachnie, lub niestusznie — wewnętrzne sprawy powstania niezbyt ich interesowały. Trudno odkryć w ich ruchu i akcjach względy ciasnego interesu ekonomicznego. W sprawie polskiego powstania widzieli oni przede wszystkim sprawę etyczną, sprawę ludzkości, w pomocy zaś dlań upatrywali naprawienie krzywdy szlachetnemu, a umęczonemu narodowi. Odgrywały też rolę czynniki interesu politycznego. Angażując się w sprawy polityki międzynarodowej umacniali swe pozycje i nabywali doświadczenia sposobując się do kolejnych interwencji w sprawach wewnętrznych, w szczególności w sprawie demokratycznej reformy

wyborczej. Wrogowie robotników wykorzystywali niejednokrotnie ich emocjonalne angażowanie się po stronie uciskanych narodów. Największy bodaj z nich, redaktor „Times” i poseł do Izby Gmin Robert Lowe dał taką ocenę tej sprawy w 1866 r.: „Nie było by bardziej popularne w Anglii niż wojna na rzecz Węgier w 1849 roku, lub w ostatnich czasach na rzecz Polski. Gdziekolwiek istnieje okrucieństwo lub niesprawiedliwość uczucia niższej klasy Anglików — niech to będzie powiedziane na ich cześć — buntują się przeciw temu.” Komplement ten wykorzystany był jednak dla podkreślenia braku rozsądku politycznego u robotników, co uniemożliwiło im udzielenie im praw wyborczych. Nie jest dla nas obecnie istotne, czy i komu rację przyznała historia. Stwierdzimy jednak, że uczucia i zapał, które ogarniały prostych ludzi tego czasu, ich „serce, jasny pogląd i sprawiedliwość”, są nieśmiertelne i one ostatecznie przetwarzają dzieje.

HENRYK KATZ

str. 3





### Z TEATRU POLSKIEGO W ŁODZI...

P. Marian Wincler, artysta z Bożej Łaski, o którego zasługach dla teatru polskiego w Łodzi, stanowisku na naszej scenie i talentie pisać byłoby zbyt długim, bo go zna Łódź cała i cenit rozpocznie swój benefis w tych dniach. Zrobił się on z Łodzią jak nikt inny z aktorów, łódzkiej scenie poświęcił najpiękniejsze lata swego zawodu i do ostatka pozostał jej wiernym. Toć wiadomo powszechnie, że w roku bieżącym angażowano Winclera na scenę warszawską, na scenę, która jest przecież kresem marzeń aktorów łódzkiej i polskiej. Wincler pozostał wiernym Łodzi i za to należy mu się wdzięczność wszystkich łódzian... Grać będzie dramat Sienkiewicza „Na jedną kartę”.

„Rozwój” 1906

### CNE OFIARY PRZEZNACZENIA...

„I wszyscy ci, którzy pragną doznać szczęścia, uniknąć swego przeznaczenia, zdobyć sobie miłość ukochanej kobiety, wogóle uzyskać wszystko czego człowiek pragnie; odkryć najgłębsze tajemnice, dowiedzieć się co się w sąsiednim domu dzieje, wykorzystać pijaństwo, samowładztwo (onanizm) i inne rozmaite zbroczenia, mieć stałe szczęście w grach i loterii, pozyskać władzę nad innymi ludźmi, we wszystkich handlowych przedsięwzięciach mieć stałe powodzenie, niech sądzają dzieła w języku polskim, które ich o tem pouczy. Dzieło to wysłano darmo, jedynie za zwrotem wydatków w kwocie 75 kop. w marcejkach pocztowych na adres Tourjour psycholog, Bruxelles-Centre, postale 125, Belgia...”

„Nowy Kurier Łódzki” 1913

### KAPIELE ŚWIĄTECZNE

a mianowicie: elektryczne, kwasowo-węglowe, siarczane, chłodziwskie, siarczyny i inne rozmaite zbroczenia, mieć stałe szczęście w grach i loterii, pozyskać władzę nad innymi ludźmi, we wszystkich handlowych przedsięwzięciach mieć stałe powodzenie, niech sądzają dzieła w języku polskim, które ich o tem pouczy. Dzieło to wysłano darmo, jedynie za zwrotem wydatków w kwocie 75 kop. w marcejkach pocztowych na adres Tourjour psycholog, Bruxelles-Centre, postale 125, Belgia...”

„Nowy Kurier Łódzki” 1913

### GORACE ZRODŁA W OZORKOWIE

Sprawa niedawno odkrytych źródeł w Ozorkowie zajęły się władze odnośnie w Petersburgu. 10 źródeł, z których w osmiu woda posiada według danych ekspertyzowych własności lecznicze podobne przy kuracjach żółtaczki. W dwu zaś na posesjach Tytmana i Gotleba bje woda mineralna zbliżona do Narzamu. Kompetentni rólują im powodzenie...”

„Nowy Kurier Łódzki” rok 1913, II półroczu

### GABINET KOPROWSKIEGO

Piotrkowska 35 — Leczenie i usuwanie zębów ABSOLUTNIE BEZ BÓLU, elektrycznością, Piombi i sztuczne zęby najnowszych systemów. Prostownianie krzywych. Masaże vibracyjne.

„Nowy Kurier Łódzki” rok 1913, II półroczu

### NIE MOŻNA DŁUŻEJ MILCZEĆ!

Jak szycianuje się Łódź pod wszystkimi względami? Pałana polityka kolejowa. Dlaczego rząd nie buduje w Łodzi. Prasa musi walczyć o rozwój kulturalny miasta! Polityka rządowa względem Łodzi stale się coraz wyraźniejsza. To co analfabeci społeczni mówili po kawalariach i cukierkach, staje się jasnym programem — trzeba zepchnąć Łódź do poziomu trzeciorzędowego miasteczka prowinjonalnego, przemysł wiócienniczy jest nam niepotrzebny wołają w stołki, a więc Carthago delenda... Kto ma protestować, czy przedstawiciele przemysłu, którzy poza kalkulacją swoich towarów nie chcą i nie mogą o niczem wiedzieć? czy rada miejska z 34 partiami, czy poseł aptekarz, czy laryngolog, zajmujący się w wolnych chwilach kwestiami gieldowymi... pozostaje prasa i ta powinna rozpocząć zawziętą walkę o byt i rozwój kulturalny naszego miasta...

„Republika” 1923

### NOWY PLAN SANACJI

w świecie krytyki! W przededniu waloryzacji opłat państwowych. Nowa taryfa pocztowa od 1 stycznia 1924 r. za list zwykły wynosić będzie zamiast 123.000 marek tylko 10 centów złotych.

„Republika” 1923



**P** IOTRKOWSKA Fabryka Okuć Budowlanych: nie ma budowli w Polsce, nie ma osiedla mieszkaniowego, które by nie korzystało z wyrobów tej fabryki.

Ale fabryka pokrywa zaledwie 50 proc. zapotrzebowania. Między innymi dlatego tylko połowę, że do wyrobu tych rzeczy potrzebne jest takie urządzenie, które nazywa się maszyną do prostowania drutu i pretów. Nazwa, która wyjsła w czym rzecz, ale nie mówi nic o tym, że takich maszyn w Polsce się nie wyrabia. Owszem — można ją sprowadzić za dewizy z Niemiec, jak ta, która dziś ostatkami sił służy fabryce. Jednakże starość, a nasza maszyna jest już bardzo stara, nie omija także rzeczy martwych.

I w tym miejscu można by wyznaczyć punkt kulminacyjny naszej opowieści. Rzecz zrozumiała, że jak w każdej pozytywnej historii tak i tutaj wystąpią bohaterowie, którzy taką maszynę, potrzebną fabryce, zbudują.

Owszem, tacy pozytywni bohaterowie się znaleźli. Bo proszę tylko zwrócić: dyrekcja fabryki przynaglona koniecznością zwróciła się do specjalistów w dziedzinie budowy maszyn. Biuro Projektów w Poznaniu wyraziło zgodę, ale za opracowanie dokumentacji zażądało 300 tysięcy złotych. Muszę tę sumę wyrazić słowami: trzysta tysięcy. W fabryce znaleźli się jednak ludzie, którzy zdecydowali się wykonać dokumentację za 27.500 złotych. Stownie: dwadzieścia siedem tysięcy pięćset. Trzysta tysięcy i dwadzieścia siedem tysięcy!

Dokumentację maszyny opracowuje czterech młodych techników. Główny konstruktor Władysław Telatnik (rocznik 1932) kończy w tym roku Politechnikę Łódzką. Studiuje „zaocznie”. Pochodzi ze wsi. (Przemysłany koło Tarnopola), w czasie wojny przebywał w Zaborowie powiatu brzeskiego (gdzie ma krewnych), wsi, która leży w „rozwidlenu Wisły, Uszwicy i Dunajca” i którą rozszalał Jedrzej Cierniak w książce „Wieś Zaborów i zaborowski Dom Ludowy”, a potem opisała Kazimiera Zawistowicz-Adamska w „Społeczności wiejskiej”. Podkreślam te duchowe koligacje, ponieważ sądzę, że klimat Zaborowa na pewno wpłynął na ukształtowanie się postawy przyszłego konstruktora. Po wojnie Telatnik wyjechał do Szczecina, ukończył tam Technikum Budowy Okrętów (przemianowane potem na Energetyczne)

i — jak to często w życiu bywa — poznawszy jedną z piotrkowianek o dźwięcznym imieniu Julitta osiadł w tym mieście w roku 1958. Mieszka w starej kamienicy, w dzielnicy fabrycznej przy ul. 1 Maja. Żona pracuje w Banku.

Drugi z konstruktorów Wojciech Michałak (rocznik 1940) ukończył Technikum Mechaniczne w Piotrkowie, obecnie przygotowuje się do studiów wyższych. Życiorys trzeciego z tej czwórki Marka Luczyka (rocznik 1936) „piotrkowianina z krwią i kością” jest podobny do poprzednich. Luczyk jest również absolwentem Technikum Mechanicznego w Piotrkowie.

Otóż pewnej niedzieli ci młodzi ludzie rozebrali maszynę, przyjrzeni się jej mechanizmowi i zdecydowali, że wykonają lepszą. Ich maszyna zaoszczędzi wiele dewiz i przyczyni się do zwiększenia produkcji fabryki (w przyszłym roku już o 100 procent).

Gdzie więc tkwi sensacja? Otóż sensacji nie ma tutaj za grosz. Nie było, nie ma i nie będzie. To co opisuję i co widzę nie mieści się w granicach żadnej sensacji. Oczywiście, kiedy opowiedziałem pewnemu inżynierowi z Łodzi o pracy czterech konstruktorów, ten orzekł: wariaci! Można się domyślić, co miał na myśli. Ale to, co się dzieje w tej jednej fabryce w Piotrkowie, nie można ocenić w odwołaniu od ogólnego klimatu miasta i nie tylko miasta. Nie twierdzą, że w Piotrkowie dzieją się same dobre rzeczy. I że w tej fabryce wszystko jest za pięć na ostatni guzik. Towarzyście Ibroni i Kordowiak (pierwszy dyrektor, drugi sekretarz POP i przewodniczący Samorządu Robotniczego) mówili wiele o płynności kadr, o uleczeniu niektórych ludzi z fabryki w chwilach bardzo trudnych. Nie przypadkowo nie podałem życiorysu czwaro tego konstruktora. Ale mówili też o takich robotnikach jak o tloczaru Stefanie Rajkowskim (wiek ok. pięćdziesiąt), o ślusarzu narzędziowym Wacławie Szczepce, o monterze okuć Bronisławie Rozpedku (40 lat), który już był przodownikiem pracy w tym okresie, kiedy modne były szarfy przodownicze, a mimo że dzisiaj szarfy są niemodne wciąż odznacza się tą samą obowiązkowością i uczciwością. „Edward Włodarczyk (33 lata) jest także uczciwy”. „Uczciwy” — to określenie pojawia się w ustach dyrektora na oznaczenie człowieka obowiązkowego i solidnego. „Uczciwy” jest Bogdan

Filipowicz (25 lat), tokarz, absolwent kursu mistrzowskiego dla tokarzy, dobijający się dzisiaj matury. W fabryce pracują również kobiety. Wiele zawodów mogą tutaj wykonywać kobiety — są pakowaczkami, wiertaczkami. I trzeba powiedzieć, że są wśród nich takie, które nie dają się prześcignąć w robocie, jak na przykład wiertaczka Kazimiera Kuciapa.

Tow. tow. Ibroni i Kordowiak podkreślali, że w ubiegłym roku mimo bardzo napiętych zadań dzięki całej załodze (ja piszę — większość załogi) wykonano ten plan. Tow. Kordowiak przedstawił sprawozdanie z ostatniego zebrania samorządu robotniczego. Wynikało z niego, że dyskusje popołudniowe toczony są w fabryce niezwykle poważnie. Zrewidowano na przykład plan postępu technicznego. Pierwotnie plan ten zakładał duży wzrost produkcji nowych wyrobów, natomiast konferencja postuluowała „zmniejszenie pracochłonności drogą mechanizacji i częściowej automatyzacji”. „Załoga jest ofiarna” — podkreślił dyrektor. Dla mnie zrozumiałe jest w takim układzie i klimacie fabryki stanowisko czterech konstruktorów, których ów inżynier z Łodzi nazwał „wariatami”, ich wyrzeczenia, ich praca w godzinach, które mogłyby przeznaczyć na lekturę, na odpoczynek, na rozrywkę.

Fabryka jest piątym co do wielkości (jeśli chodzi o kluczowe pozycje) zakładem w Piotrkowie. Zatrudnia trzystu pracowników, eksportuje towary za przesiłło dwa miliony złotych, odbiorcami wyrobów fabryki są kraje z Ameryki Środkowej, Afryki, NRF. Nie można powiedzieć, że to, co się dzieje w tej fabryce, czym żyją robotnicy fabryki jest obojętne dla miasta. Fabryka istnieje

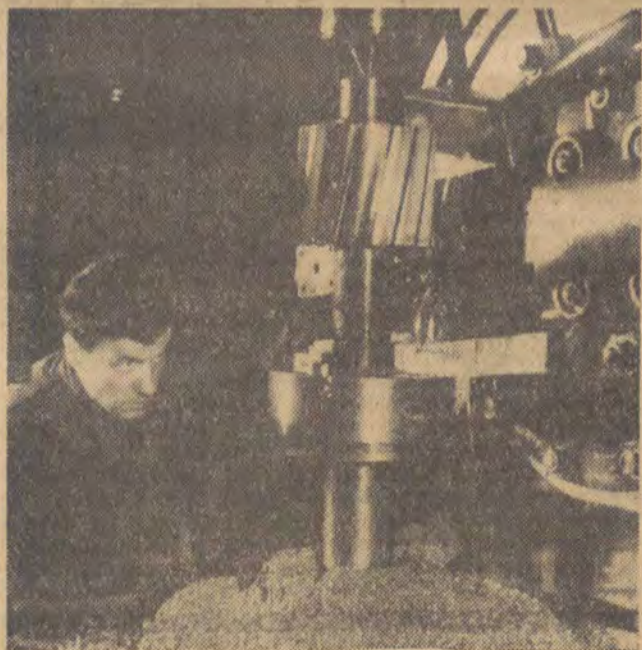
**Z** aca starszka „Hortensja” przeżywa drugą młodość. Porównanie do kobiety byłoby tu może reporterskim banałem, gdyby nie to, że kiedy w roku 1898 Emil Haebler otrzymał zezwolenie rządu gubernialnego na postawienie w Piotrkowie Trybunalskim dwóch hut szkła, nazwał ją imionami swoich cerek, Hortensji właśnie i Anny. Hortensja okazała się bardziej długowieczna, bo po jakiejś scysji wspólnik Haeblera, przemianował „Annę” na „Karę”. Mówią, że istotnie za karę, ale tego już nie zgłębiałem, interesując się stosunkami ludzi współczesnych, a nie konfliktami przemysłowców.

Dziś odmłodzenie swe demonstruje „Hortensja” podbijając światowy rynek nowoczesnymi wzorami, które idą za granicę, jak przysłowiowa woda. Rzadko trafiają do naszych sklepów, znikają wtedy błyskawicznie. Artystyczne kształty zastępują te spod znaku szklanki musztardówki. Istna rewolucja, w której ze sprawami produkcji krzyżują się losy i dążenia ludzi.

Piotrków lubi i cenit tradycję. Czy więc przedstawienie od lat ustalonych stylu wyrobów „Hortensji” nie wywołało protestów. Dyrekcja zorganizowała ostatnio wystawę wzorów. Hutnicy dopytywali się, kiedy wreszcie będą mogli wykonywać te cacka. Niektóre trudne, pracochłonne, wymagające zwiększenia wysiłku. Wiadomo, każdy fachowiec z prawdziwego zdarzenia lubi „majstersztyki”, prace, którymi można się popisać, wykazać znajomością kunsztu. A „Hortensja” ma dobrych fachowców.

Dyrektor Mieczysław Rosiński przybył do Piotrkowa ze Szklarskiej Poręby, stamtąd również przywędrował Wiesław Sawczuk, kierownik pracowni wzorniczej, do którego mnie, dyrektora na Osiedle Piastowskie skierował. Na drzwiach małowany szklidk, w środku zaś mństwo szkła, ceramiki. Autor tego wszystkiego, młody absolwent wy-

# PIOTRKÓW



je wprowadzić od roku 1944 (ewakuowana przez braci Lubertów z Warku), upaństwowiono ją w 1948. Nie ma więc tradycji takich jak „Hortensja”, (słynie strajki w latach 1932, w 1936). Ale w okresie międzywojennym w Piotrkowie KPP miała duże wpływy. W latach od 1920 do 1930 komunistki kierowały Radą Klasowych Związków Zawodowych. Fabryka przedłuża tamte tradycje i buduje nowe.

TADEUSZ PAPIER

Piotrków budzi szacunek swoją szacowną staroświecznością, Starym Miastem i ciasnymi uliczkami, i Rynkiem, i zabytkowymi kościołami. Nie sądzę, aby to, co tutaj zostało napisane, oddawało w pełni przemiany zachodzące w dzisiejszym Piotrkowie. Mam jednakże nadzieję, że portrety młodych techników i robotników (a także innych, nie przedstawionych tutaj, jak np. długoletniego pracownika fabryki Stefana Turlejskiego, (b. więźnia Gross-Rosen) choć migawkowe, odsłaniają treści istotne.



Piotrków rozbudowuje się. Ma ambicję stania się dużym miastem przemysłowym. Godne pochwały. Sporo informacji zdobyłem od mgr Leszka Szymańskiego, kierownika inspektoratu inwestycji Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Spokreśliłem go na niedzielnej herbatce w kawiarni „Pod Ormianinem”, gdzie mimo zastrzeżeń, że tradycyjnie wyłącznie ojcowie miasta upoważnieni są do informowania publicznej opinii, skłoniłem go do rozmowy.

Miasto ma dwa nowe osiedla mieszkaniowe – Wyzwolenia i Piastowskie. Pięć bloków w zeszłym roku dobudowano w pierwszym, cztery w drugim, 108 izb ponadplanowo. Wygospodarowano je tak, że już w trakcie budowy przeprojektowano bloki, dodając jedną kondygnację. Sporo było pracy, sporo lawinowania na krawędzi prawnych przepisów, ale za to ogólnokrajowe hasło „więcej izb za te same pieniądze” wprowadzono w czyn. Na rok przed zarządzeniem ogólnokrajowym o budowie najbardziej opłacalnych domów pięciokondygnacyjnych zaczął takte stawiać Piotrków. W całej Polsce 50 proc. wznoszonych budynków wykonuje się oszczędnościowo, według typowych planów. W Piotrkowie – 100 proc. Jeśli można mieć zastrzeżenia, to chyba te, że ogrzewanie piecowe, stosowane tu nagminnie, nie należy do wygodnych ani ekonomicznych, lecz podobno projektów oszczędnościowych jest dotąd mało i wybór kłopotliwy. W roku 1964 przybędą na obu osiedlach po trzy domy, a na ukończeniu są projekty pierwszych w województwie trzech „latawców” jedenastokondygnacyjnych.



towaliśmy. Ci ludzie polubili swoje miasto, miasto z wyboru. Interesują się jego sprawami, serio denerwuje ich matowe nieco szkło „Hortensji” (kwestia przecież niby ściśle technologiczna), rozmawiają o trudnej aklimatyzacji. Zona inżyniera Gradowskiego nie pracuje (wykształcenie średnie), bo nie może znaleźć w Piotrkowie posady. Chwilami zabrzmią i nuty rezygnacji. Może gdzieś indziej, w większym ośrodku, byłoby mieszkanie dla Paczos, pracownia dla Sawczuka, inżynier Krystyna Sawczuk mogłaby projektować, pracować żona Gradowskiego? Lecz młoda inteligencja, która „z Polski” wybrała Piotrków, nie rezygnuje łatwo.

RYSZARD RADUSZEŃSKI

# PIOTRKÓW

Powstają nowe szkoły, przedszkole i szpital powiatowy. Rozmach. Samych izb mieszkalnych ponad tysiąc osiemset.

Może któraś z nich dostanie Stanisława Paczos? Młoda plastyczka, tuła się po znajomych. Dlatego nie mogłem jej spotkać, porozmawiać. Historia Stanisława Paczos potwierdza trudności wrastania w miasto młodych, wykształconych ludzi.

Zona Sawczuka, inżynier budowlany po Politechnice Warszawskiej, chodzi niemal bezrobotna. Niemal, bo pół etatu ma. W Technikum Budowlanym uczy geologii, hydrogeologii, organizacji i ekonomiki budownictwa. Jest co prawda technologiem, ale technologię wykłada ktoś z innej znowu dziedziny. A tymczasem Miejskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane nie ma ani jednego inżyniera, technika, ani nawet majstra z uprawniającymi. Nie przeszkadza mu to w budowie pawilonu CPLiA, ciągnącej się zresztą nieco przysługę. Piotrkowskie Przedsiębiorstwo Budowlane ma raptem czterech inżynierów, Spółdzielnia „Elektrobudowa” zaś – bodaj jednego technika. Piotrków nie chce ludzi po studiach? Postulaty oficjalnie brzmią z pewnością inaczej.

Ekonomista mgr Szymański „wszedł w miasto” niefortunnie. Przez małżeństwo z piotrkowianką. Należy też do pokolenia nieco starszego. Jemu łatwiej przyszła aklimatyzacja. Kraj znajomych, życie kulturalne. Rozmawialiśmy i o tym. Przeniesiony w atmosferę Piotrkowa łodziem doszedł do ciekawego wniosku. Duże miasto zapewnia nam zaplecze, świadomość potencjalnych możliwości skorzystania z kulturalnych placówek, ale w rzeczywistości rzadko do nich trafiamy, zamknięci w kręgu kilku ulic zakreślonym miejscem pracy i mieszkaniem, ograniczeni do szczupłej grupy najbliższych znajomych. Zajrzyjmy choćby do pierwszego tegorocznego numeru „Odgłosów”, do ankiety o teatrze, a zobaczymy potwierdzenie. „Prowincja” przez brak tak obfitego zaplecza wzmaga intensywność życia towarzyskiego. Liczne zaś wycieczki do teatrów powodują częste oglądanie spektakli. Problem wart opracowania socjologicznego.

Młodzi przybysze trzymają się raczej własnego grona. Jeszcze nie należeli powiązań. Rozmawiają, grają w brydża, robią wycieczki, czytają. Wyśię nie bardzo jest gdzie. Są trzy kina (supernowoczesna „Hawana” stanowi chlubi Piotrkowa), dwie kawiarnie, trochę działa Dom Nauczyciela, skupiając własne środowisko, gdzieś tam czynny klub NOT-u. To wszystko. Nigdzie nie ma miejsca, w którym schodziliby się ci „nowi”, nie ma ośrodka inteligencji, przeznaczanego na wymianę poglądów, tworzącego stopniowo młoda gromadkę współzyczących ze sobą i miastem piotrkowian.

W kawalerce Sawczuków (swoja droga plastykowi należałaby się pracownia) spotkałem łodziem, inż. Janusza Gradowskiego. Długo dysku-

W roku pańskim 1782 jedną z najstarszych kamieniczek piotrkowskiego rynku, tego, co się dzisiaj nazywa Placem Trybunańskim, należała do niejakich Augustynów wiewiór, rodziny znanych kupców ormiańskich. Wiadomość tę podaje niezastąpiony przewodnik po Piotrkowie Rawily – Witanowskiego (z lat dwudziestych naszego już jednak stulecia) jednym temem obok informacji, że w tej kamienicy na dole kwili wyszynk piwa i wódek. Usna, niepisana tradycja lat ostatnich dodaje, że w dolnych partiach kamienicy kryło się coś na kształt zajazdu czy gospody, ale nie w naszym pejoratywnym przecięt znaczeniu. Oto rodowód jaki mogłaby mieć PSS-owska kawiarnia „Pod Ormianinem”, gdyby nie ten figlik historii, który sprawił, że lokal usytuowano parę posesji dalej.

Z okna jest dobry widok na Plac Trybunański, a raczej to, co niegdyś było czworokątną płaszczyną ziemi, co dziś zamieniło się w drewniany parkan z przybitą tablicą. Tutaj dokonywano elekcji kilku królów, a Sejm zbierał się do XVI w. Tutaj, w Ratuszu, z którego nie ocalała ani jedna cegła, urzędował Trybunał Koronny Rzeczypospolitej. Synody kościelne diecezji gnieźnieńskiej odbywały się też w granicach zakreślonych przez wąskie, cieniste uliczki, u piotrkowskiej Fary. Niepostrzeżenie, między jedną a drugą filiżanką kawy, którą tutaj podają „po włosku” człowiek daje się wciągnąć w mały egzamin z historii, w jakąś całkiem prywatną powtórkę. Sposób parzenia kawy nasuwa oczywiście całkiem nieoczekiwane skojarzenie. Bo przecież to w Piotrkowie wbrew intrygom Bony uznano Barbarę Radziwiłłównę królową. „Barbarę Radziwiłłówna” zaś, już nie królowa, tylko sztuka, wysłał Teatr Nowy jeszcze w czasach dejmowania w tymże Piotrkowie włączając się w obchody słynnych „Dni” miasta powołanych do życia przez miejscowy, bardzo ruchliwy oddział PTT-K. Był to dobry rok, ten 1960 dla tego, co nazywamy zwykłym ożywieniem kulturalnym. Uroczystości oficjalne pobudziły indywidualną i społeczną inicjatywę. Przez wiele dni funkcjonowała na Rynku estrada, gdzie w scenarii bram miejskich skopiowanych z herbu Piotrkowa, całym godzinami ciągnęły się widowiska w stylu tych, które w wiekach średnich przyciągały swą powagą i barwą niemal całą ludność grodu. Te nowe misteria nawiązywały do motywów zaczerpniętych z bogatej przeszłości miasta. Między „zakładami naukowymi”, jak poeciwo „Przewodnik” Witanowskiego nazywa szkoły, wytworzyła się swoista walka konkurencyjna o brzenie historii, które młodzież a może jeszcze bardziej pedagodzy czuli się upoważnieni udźwig-

nąć. Były to zarazem lata działalności teatryku satyrycznego „Papuga”, który dał o sobie znać programem „Zło w użyciu”, najbardziej skandalicznym, bo o lokalnych akcentach. W Łodzi dostali nagrodę, ale w Piotrkowie tym miejscowym studentem SN chciano wytoczyć proces o obrazę, nie wiadomo dobrze czego, bo wyszydłali w swoich tekstach usytuowanie pomnika Bohaterstwa Żołnierza Polskiego dwadzieścia kroków od miejskiego szalelu. Miary zaś dopełniło słowo „sju siać”, które nieopatrznie padło ze sceny. Niektórym wydawało się grubo za mocne. Czcieliście czystości rodzimego języka dopiełł swego – „Papuga” jest już dzisiaj tylko wspomnieniem. Los teatryku satyrycznego podzieliła i grupa literacka „Trybunał”, która dobrych kilka lat czyniła kulturalny ferment w Piotrkowie. Wprawdzie założyciele grupy nie wypowiadają się na ten temat, ale raczej nie wygląda na to, żeby rozwiązanie „Trybunału” nastąpiło w związku z wykrystalizowaniem się indywidualności artystycznych poszczególnych twórców. Można więc postawić pytanie co się stało z pokoleniem Bruchnalskiej, Kociniaka, Kaczmarka? Wprawdzie nie brak zdolnych następców, jak choćby absolwenci SN – Świegocki, ale jak powiada stare przysłowie „jedna jaskółka nie czyni wiosny”. Zresztą do wiosny jeszcze daleko, nawet kalendarzowej, a parkan za oknem, gdy się tak gapię i wspominać, to jednak widok monotonny.

We wnętrzu lokalu z jego skomplikowaną topografią, bo jedno od sałek, zakamarków, wnęk – jakby czegoś brak. Może to rzeczywiście czyste subiektywne odczucie, a może jednak bierze się to za sprawą mietycznego Cezarego, który niegdyś jak „deus ex machina” ożywił swą postacią raz to deptak na ulicy Sławackiego, to znów przestraszenie któregoś lokala. Pan Cezary, chociaż za młody, aby pamiętać czasy gubernatorów Millera, Essena czy chociażby Jacewskiego, z ujmującym uśmiechem tytułował towarzyszy żyjące jeszcze wspomnieniami najlepszych gubernatorsko-emeryckich czasów per „panie hrabio” czy „panie majorze”.

Nie będziemy się chyba zajmować innymi stronami działalności pana Cezarego, aby jak najdalej odnieć od tematyki sądowej. Zostawmy lepiej przy tym, co nam jak dotąd pozwoliło wysiedzieć w salce z głównym oknem i grającą szafą marki „Meloman” nakryta pokrowcem. Na razie szafa, po raz nie wiadomo który, nie gra. Właśnie niecierpi twierdza, że mechanizm psuje się ponieważ personel kawiarni zapomina

w porę o wyciągnięciu nagromadzonych w automacie pieniędzy. Pokrowiec drażni nie przyzwyczajone oko, bo miejscowi to może inaczej, pewnie już przywykli. Zwłaszcza, że są to stale godziny napływu i odpływu gości, całkiem regularne wahania.

I znowu robi się pusło, znowu trzeba wyjrzyć przez okno na Rynek. Nie, plot, który postawiono jeszcze w czerwcu nie przewrócił się tylko dlatego, że człowiek chciałby zobaczyć co się za nim kryje. Michał Rawita-Witanowski jest tutaj bardzo pomocny, kiedy pisze: „W pośrodku Starego Rynku, tego serca miasta, stał Ratusz. Był to gmach jednopiętrowy, murowany z cegły, o planie wydłużonego czworoboku”. To było jednak dawno, zdaje się w 1868 gubernator Kochanow podpisał бумаżkę w sprawie rozbioru Ratusza. Prawie sto lat później z inicjatywą mgr Polkowskiego i Komisji Kultury rozpoczęto prace archeologiczne ocażając teren robót owym szczelnym plotem. Pierwszą łopatę ziemi wyrzucano latem ub. r. Już wkrótce natrafiono na fundamenty nie tylko rozebranego Ratusza, ale wcześniej stojącego przed latami. Wreszcie wszystkich zelektryzowała wiadomość – zachował się dobrze fragment baszty, w którym mieściła się kazińska. Miejska Rada podejmuje decyzję o zrekonstruowaniu kaziń i wyłożeniu całego rynku płytami z zaznaczeniem konturów miejsca, na którym przed laty wznosił się Ratusz. Pośpieszenie zleceno Przedsiębiorstwu Konserwacji Zabytków o pracowanie dokumentacji. Decyzja jest szybka i chyba słuszna, bo miasto zyska jeszcze jeden obiekt o znaczeniu turystycznym.

Trudno jest zrozumieć dlaczego tam, gdzie z takim pietyzmem podchodzi się do przeszłości, ważne wydarzenia aktualnie przechodzą niemal niezauważalnie. Czy rzeczywiście tak wielkiego trudu wymaga uprzytomnienie sobie, że terazniejszość obiektywnie się i zaczyna być powoli coraz odleglejszą historią? Tymczasem stracono dla miasta taką szansę jaką był doskonale pracujący teatr satyryczny „Papuga”. Zwłaszcza przy niedosytle występów zawodowych teatrów objazdowych, które niezbyt często zjeżdżają do Trybunańskiego Grodu. Dobrze, że nie stracono również okazji do wzmocnienia działalności kulturalnej poprzez „Dni Piotrkowa”, które w r. b. mają odbyć się po raz drugi. Wreszcie zupełnie nie można zrozumieć, jak to się dzieje, że z czterech etatów, którymi dysponuje Muzeum w Piotrkowie tylko jeden został obsadzony. Rejestr tych strata mógłby się stać oczywiście wcale dłuższy. Ale nie chodzi o precyzyjne wyliczenie szczegółów. Po prostu tyle nasuwa się na pierwszy rzut oka, kiedy się wygląda przez okno kawiarni „Pod Ormianinem”, a potem przenosi się wzrok na zastaloną szafę grającą marki „Meloman” i zasłone na drzwiach wiodących do Sali Rycerskiej.

KONRAD FREJDLICH

Zajęta:  
ANDRZEJ WALTER  
I ZBIGNIEW  
JARZYŃSKI



Wodzianie  
podróżują

TADEUSZ KWIATKOWSKI

— Znajomi plotkują, że u Pana domu jest krokodyl.  
— Zgadza się. Taki malutki, półskłiw. Oczywiście wypchany. Z każdej egzotycznej podróży przywozę jakąś pamiatkę.  
— Ostatnio był Pan w Nigerii?  
— Tak, po raz drugi. Oczywiście w sprawach handlowych. Ale o tym może później.  
— A teraz? Widzę jakieś notatki z dziejca.  
— Prowadzę coś w rodzaju dziennika podróży. Własne zapiski a ponadto zdjęcia, wycinki z prasy, pocztówki. Tu np. kobiety z Nigerii. Czarne dziewczyny poświęcają dziś niezwykle dużo uwagi własnej edukacji, uczą się w szkołach, w domach. Może dlatego, że dziewczyna z czeremą, co najmniej, klasami szkoły podstawowej kosztuje znacznie drożej niż analiza.  
— Kosztuje?  
— Ciągłe jeszcze kandydat na męża musi wypłacić ojcu dziewczyny odpowiednią cenę. Bywają historie konfliktowe. Oto wycinek z prasy: farmer i jego żona zostali skazani na grzywnę 2 funtów albo dwa miesiące więzienia, za to, że teści wyłudził od zięcia za swoją córkę 63 funtów zamiast przepiowych 35.  
— Podobno ludność Nigerii jest niezwykle gościnna.  
— Czasem do przesady, ale to w dobrej wierze. Bywają wypadki, że miejscowi żebracy zapraszają cudzoziemca na... kolację, i nie można im odmówić. Mieszkańcy Nigerii są narodem wesolym, ale i bardzo przesadnym. Znajdują dziesiątki okazji na urządzenie zabawy, defilady. Tylko, że w czasie defilady, na przykład, zupełnie nie nie widać, Tumanu kurzu unosi się spod nóg maszerujących i zasłaniają cały orszak. Ale wszyscy, mimo to, są ogromnie zadowoleni. Wróży. Jest ich niezliczona ilość, i czarowników też. Miałem np. wypadek, kiedy kupiec, z którym Cetebe zamierzała podpisać umowę handlową – „poradził się” najpierw czarownika i kilku duchów. Ale to pewnie dlatego, że tam, w Nigerii, ludzie zupełnie prawie nie szanują pojęcia: czas. Opuszczałem port lotniczy w Kano. Na karcie urzędowej postawiono trzy pieczątki i trzy... różne daty. Duża frywolność w określaniu właściwego dnia miesiąca.  
— Co w Nigerii, poza naturalną rzecz jasną afrykańską egzotyką, niezwykłego?  
— M. In. to że kobiety, zresztą ogromnie wesole (tarzą się czasem po ziemi ze śmiechem) nie boją się jaszczurek. W każdym mieszkaniu, w pokojach hotelowych na ścianach mnóstwo spacerujących jaszczurek. I jeszcze jedno: przed domami, na dachu tych łancuszkach siedzą małpy. Strzeżą gospodarstwa jak nasze psy.  
— Do Nigerii pojechał Pan w sprawach handlowych.  
— Eksport polskiej tkaniny bawełnianej. Jeszcze dwa lata temu sprze dawaliśmy Nigerii trzy asortymenty tkanin a obecnie ponad 20. Umiejętność, jak to się w języku handlowym mówi – w gust egzotycznego klienta. Na ulicach Lagos i Kano widać dziesiątki afrykańskich dziewcząt w zawojach z kolorowej popeliny „rodem” z ZPB im. Marchlewskiego w Łodzi.

Rozmawiała: H. B.



# PAN JÓZEFAT



dalszy ciąg ze str. 1

oczywiście, we wsi i dziewczęta ładniejsze od niej, ale ona miała „miejski kolor”, co niektórych bardzo pociągało. Może jeden tylko Dymitr, choć młody, spłwał za nią. Ale Dymitrowi nikt się nie dziwił, on był jakiś inny, miłujący i ironiczny — „bolszewik”, u którego znaleziono w słomianej strzesze aż dwie „otrezanki”, dwa karabiny z obciętymi lufami. Dymitr dopiero niedawno wrócił z więzienia w odległych Świecianach. Kobiętami, przynajmniej na razie, nie interesował się, często natomiast spędzał wieczory u miejscowego kierownika i w jednej osobie jedynego nauczyciela czterodziałówki.

Wyjątkowo w „wieczorach artystycznych” u Malwiny brał także udział emerytowany kapitan Niemirowicz. Oczywiście, jako statysta i konsument wódki pod kiszone ogórki.

Emerytowany kapitan był jeszcze człowiekiem dość krzepkim, ale został zwolniony ze względu na brak wykształcenia, do polskiego wojska przeszedł z carskiego, gwiazdki zdobywał na wojnie. A, jak wiadomo, ludzie bardzo przydatni na wojnie nieraz wcale nie są potrzebni życiu pokojowemu; każdy czas o innych upomina się ludzi — stąd rozpacz kapitana, który nic przed sobą już nie widział, rozpijając się ostatecznie.

Kapitan cieszył się szacunkiem, przysługującym jego gwiazdkom, tylko do połowy każdego miesiąca. Jeśli zjawiał się w siole po piętnastym, to w bryczesach, ale bez długich butów — w zrudziały kamaszkach. Był to widok dość groteskowy, jednocześnie zaś od razu wszyscy wiedzieli, że kapitan znowu ma „ciąg” i że piękne oficerskie buty, budzące szacunek dla ich właściciela, stały u Sękowskiego lub u sklepikarza. Sękowski na ogół takich przejściowych zastawów jak buty nie przyjmował, w wypadku kapitana kierowały nim jednak jakieś patriotyczne pobudki i szacunek dla wojska. A samego kapitana, gdy był w kamaszkach, wszyscy unikali: z naciąganego bowiem na wódkę stawał się naciągającym.

Na „wieczorach artystycznych” recytowano czasem przypowiastki z *Biela-ruskiej dudki* Bohuszewicza, a przede wszystkim dużo śpiewano. Były to polskie przeboje i rosyjskie „cygańskie romanse”. Ulubionym romansem był *Jamszczyk*. Malwina śpiewała lekko schrypiętym altem naprawdę pięknie, wzruszająco. Nikt ze śpiewających nie wiedział o dziwnej karierze wiersza *Syrokomla Pocztylion*. Gawęda ta nie była tu znana, a żyła jako niezwykle popularna piosenka rosyjska dzięki przekładowi poety Trefolewa. Pijackie ły wyciskali z oczu zwrotki „gawędy gminnej”:

„Kogda ja napoczcie służył jamszczykom, Był młody, wodilaś silonka. I był ja z trudom podniewolnym znakom, Zamuczila straszna gonka...”

Ja sniego otriachnul — i niewiesty mojej Uwidziel potuchszije oczy... Dawajcie wina mnie, dawajcie skorej, Rozkazuywac dalsze — niet moczil!

Gdzieś przed północą „chudożestwien-nyj wieczor” kończył się, uczestnicy rozchodzili się, a u Malwiny zostawał tylko jeden, najobrotniejszy i — jak się innym wydawało — najsześciwszy. Prawdopodobnie nie były to zupełnie bezinteresowne przygody Malwiny, gdyż jej źródło utrzymania było zawsze niejasne: przyjechała do Cwiecina z kilkoma kuferkami, otrzymywała jakieś złotówki jako emeryturę po mężu, jakieś grosze zarabiała na nielegalnym wyzysku, z którego czasem korzystał furmani — zżłębnieci, wracający, po odwiezieniu jabłek, ze stacji do miasteczka.

W październiku zdarzyło się, iż w czasie kolejnego „wieczoru artystycznego” zjawiał się Sękowski. Jak oświadczył, szukał prawosławnego proboszcza.

Wizyta nie była wydarzeniem zwyczajnym i nawet przerwano w połowie którejś zwrotki ulubionego *Jamszczyka*. Ale prędko wrócono do poprzedniej sytuacji. Ktoś zyczliwie nalał wódki do graniastego kieliszka i postawił przed Sękowskim, Malwina — śmiejąc się, z oczyma błyszczącymi jak szklane guziczki u jej czerwonej bluzki — rozjaśniła zwisającą od sufitu lampę w niebieskim kloszu. Zarzucając, że na dworze zimno, zrobiła Sękowskiemu miejsce obok siebie. Rzeczywiście od kobiety szło ciepło, pachnące taniami perfumami.

Sękowski nie lubił takich wieloosobowych fet, ale dziś skrył swoją abominację.

Na dworze padało, szczyby były zagryzione przez deszcz; gdy milki szarpane strąny, kałuże za oknami aż bulgotały od spadających kropli.

Zestawienie własnego wyzębionego domu, w którym zostawił głuchawą staruszkę, spełniającą obowiązki gospodyni, i śpiącego w popielniku kota — z atmosferą izby Malwiny szybko usposobiło go dość przychylnie do sytuacji.

W śpiewie nie brał udziału, ale za to chętnie przekomarzał się z Malwiną, która co chwila — choć niezbyt stanowczo — odsuwała jego rękę, usiłując ją objąć.

Nie spełniał wszystkich kolejek, jednak gdy zaczęto mówić o tym, kto postawi następną półlitrowkę — łatwo zdecydował się na wydatek.

Gdy goście, zawadzając w sieni o beczkę z wodą, wychodzili w ciemność, Sękowski marudził i odwlekał ten moment.

Na noc został u Malwiny. Nazajutrz Sękowski — wbrew niebu, nie zapowiadającemu pogody — od rana szykował się do drogi. Do borsuczej

torby wpychał dokumenty, wydobyte ze schowka pod podłogą, co chwila otwierał drzwi do kuchni, wydawał polecenia swojej gospodyni.

Gospodyni miała pod siedemdziesiątkę i nazywała go „paniczem”. Ona pierwsza zawsze go strofowała:

— Nigdy nie masz czasu, paniczu. Jak umrę, to kto tobie będzie gotować? Zemię się trzeba, paniczu!

Dziś Sękowski był w dobrym humorze, żartował:

— A co, gdyby Weronika została moją żoną?

Staruszka nie miała cierpliwości do takich żartów, z nieudawaną zgrozą zatykała uszy:

— Toż byłoby zgorzenie boskie! Co też ty, paniczu?

Wreszcie przy płotku, oddzielającym drewnianą od grządek, stanął bulany konik, zaprzęgnięty do wozu. Ten bulany, zwany konik znany był wszystkim. Sękowski sam nie gospodarzył, ziemię oddawał w dzierżawę, zostawiając dla siebie tylko sad i kawałek ogrodu. Bulany i laciata krowa, kot oraz dwa psy na łańcuchach, zwisających z przeciągniętego przez całe podwórko drutu, to był jego żywy inwentarz.

Sękowski, co było objawem szczególnego zadowolenia, dokładnie ogolił się, opryskał się nawet kolońską wodą, z uśmiechem patrząc w lustro, musnął wasa na białej twarzy o niezdrowej cerze.

Nałożył wyleniały półkożuszek i rudą burkę, wsunął pod ramę siedzenia borsuczą torbę, cmoknął na konia, furknął w powietrzu batem i ruszył na trakt w kierunku miasteczka.

Koła rozbryzgiwały wodę z kałuż, z brzoź opadały ostatnie cętkowane rdza liście, nad pologimi wzgórzami szybko postrzępione obłoki przesłaniały okna błękitu, który był bez blasku.

Sękowski zajął się myślami wyłącznie o sprawach bieżących. Wiózł weksle do protestu, miał także spotkać się z dwoma właścicielami sadów, którzy już teraz chcieli je wydzierżawić, ma się rozumieć, za beczkę; chciał także sprawdzić jakieś umowy dzierżawne.

Sękowski unikał rezydującego w miasteczku adwokata i obrońcy sądowego. Wszystkie swoje sprawy załatwiał w jednym z biur pisania podań. Właściciel biura był mu znany od lat z rzetelności i dlatego darzył go pełnym zaufaniem. Potrafił czasem zostawić mu nawet znaczącej sumy dla dokonania wpłat przekazami pocztowymi i nawet później nie od razu zgłaszał się po pokwitowanie.

Prócz tego, że właściciel biura brał taniej za usługi, była jeszcze jedna przyczyna, dla której Sękowski unikał adwokata i obrońcy sądowego. Właściciel biura był samoukiem, a tamci mieli za sobą szkoły, dyplomy. Mając na uwadze swoje losy, nie znośli takich.

Sam Sękowski nie czytał zbyt biegle, a pisał jeszcze gorzej. Miał za to znakomitą pamięć i bez czytania na ogół pamiętał, co w której umowie stoi.

Właściciel biura nie wszystko, co dotyczyło działalności Sękowskiego, akceptował — ale oddzielał moralne oceny od obowiązków, związanych z prowadzeniem biura. Zresztą traktował trochę pana Józefata jako nieszkodliwego dziwaka, nie znanego „prawdziwego życia” i jego zalet.

Sękowski co roku zawierał umowy dziesiątkami, szukał sobie kontrahentów w niejednej gminie, całymi dniami prowadził pertraktacje, używał wszelakich perswazji, aby tylko przeforsować wszystkie swoje warunki. Były to przeważnie umowy dzierżawne o ziemię, o sady, obwarowane przeróżnymi zastrzeżeniami i karami wadialnymi. Oficjalnie wszystkie zobowiązania opiewały na złote polskie, ale faktycznie rozliczeń dokonywano w carskich rublach, uderzając pięćdziesiątkami o blat stołu i z lubością słuchając ich dźwięku.

Oczywiście, Sękowski — jako dzierżawca — sam nigdy niczyjej ziemi nie uprawiał. Przeważnie oddawał wydzierżawioną ziemię komu innemu, a nieraz i... samemu właścicielowi, ale na znacznie ostrzejszych warunkach.

Skrypywał także Sękowski — do spółki z miasteczkowymi kupcami żydowskimi — len; zajmował się pożyczaniem pieniędzy na weksle. Zyski z pożyczania były rozmaite: im mniej godny zaufania dłużnik, a Sękowski o wszystkich wszystko wiedział, tym wyższy był procent. Potrafił wypłacić sto złotych, biorąc od razu weksle na dwieście złotych. Jego dłużnicy rekrutowali się z najróżniejszych sfer — aż po ziemiańskie włącznie. Często zdarzali się wśród nich i okoliczni utracjusze — ci, rzecz jasna, najłekkomyślniej zaciągali swe zobowiązania i jeszcze pana Józefata zapraszał, jak swego dobrodzieja, na poczęstunek. Interesy z utracjusząmi były wstępem do przejęcia w przyszłości części ich ziemi.

W miasteczku Sękowski wcale się śpieszył. Nie zostawiał konia, jak to było w zwyczaju, na niczym podwórku, ale jeździł od domu do domu lub od jednego sklepiku żydowskiego do drugiego, zatrzymywał wóz na ulicy i na pocze-

kapitu załatwiał sprawy. Czasem — stojąc w sklepie, dobijając targu — zapominał się i, wymieniając szczegóły, jednocześnie cmokał na konie, jakby już siedział na wozie i za chwilę miały dudnić koła po wyboistym bruku.

Tego dnia, w czasie pobytu w miasteczku, spadł deszcz, ale przelotny. Wczesnym popołudniem Sękowski już znajdował się w drodze powrotnej — rozmięklej jeszcze bardziej niż z rana — błoto spod kopyt dolatywało niekiedy do twarzy.

Dopiero gdy zobaczył zieleńjące za nagimi gałęzmi kopyły cerkiewki, znowu przypomniał sobie Malwinę. Przypomniaławszy, częściej popędzał bulanego.

Wrócił do niego ów poranny nastrój szczególnego zadowolenia. Sięgnął ręką pod siedzenie i dotknął leżącej tam, owiniętej w papier paczki z wełnianym materiałem na sukienkę, którego koszty dodatkowo obciążyły jednego z jego dziesiętych klientów. Klient ten nie mógł zrozumieć, dlaczego przedtem dokładnie ustalona cena dzierżawna za sad spadła o pięćnaście złotych.

Dotykając paczki, Sękowski, jakby dotykał powabnie śmiejącej się Malwiny, w której ciemnych oczach iskrzyły się obietnice.

Tym razem jednak, po „wieczorze artystycznym”, Malwina nikomu nie pozwoliła zostać u siebie.

Rozchodzili się w lepkiej ciemności, słuchając nierównego bicia cerkiewnych dzwonów. Wiedzieli, że to nie chodzi ani o nabożeństwo, ani o pożar. Śmiali się z cerkiewnego ponomara, który zasnął i jeszcze raz dopuścił do tego, aby do dzwonów dorwał się skacowany kapitan Niemirowicz.

Gdy kapitan dzwonił, oznaczało to, że znajduje się w stanie wyjątkowego przysięgnięcia i dłuższego zaju.

A starzy mieszkańcy Cwiecina, budząc się ze snu, zegnali się i kięli „nieczystą siłą”, która włości kapitana po nocy.

Wszystkie podejmowane w ciągu następnych dni próby Sękowskiego zostania u Malwiny na noc kończyły się niepowodzeniem.

Sękowski z początku dziwił się, obruszał, lecz wkrótce, z czego nie zdawała sobie sprawy, przestał o tym, pochłonięty interesami, w ogóle myśleć. Tymczasem taktyka Malwiny była dość prosta.

Wcześniej zmarł mąż Malwiny, drobny urzędnik, lubił życie towarzyskie, wypadły z kanapkami i butelką w koszyku na majówki nawet we wrześniu, i nie stawał zbyt wielkich wymagań ani sobie, ani jej, gdy chodziło o wierność małżeńską. Był człowiekiem dość lekkomyślnym i ją też nauczył lekkomyślności, z której właśnie postanowiła się otrząsnąć.

Wiedziała, ile warte jest zainteresowanie tutejszych mężczyzn jej urodą. Wiedziała też, choćby z często śpiewanych piosenek, że lata płyną, mijają bezpowrotnie jak obłoki, odbite w czarnej wodzie rzeczek, i na karczowisku. W Cwiecinie przez pewien czas często odwiedzał Malwinę plutonowy ze strażnicy Korpusu Ochrony Pogranicza, ale prędko wyszło na jaw, że wcale nie był kawalerem i że w ogóle życie wiodł dość skomplikowane. Zatem od dawna miała Sękowskiego na oku, marząc o sprzyjających okolicznościach.

To popadła zaczęła ją kiedyś namawiać, aby skokietowała Sękowskiego. Popadła była przekonana, że Malwina ze







WK

starego kawalera zrobi „człowieka”, powolnego swoim ambicjom i swemu rozumieniu życia.

Malwina, odmówiwszy panu Józefatowi dalszych względów, „aby nabral tym większego smaku”, starała się z kolei o reklamę dla swych innych walorów. W tym celu zaczęła przychodzić do niego na chutor i przed starą gospodynią ujawniać swoje zdolności, związane z prowadzeniem domu.

Zabiegi tego rodzaju przeciągały się przez całą zimę i jakoś nie dawały rezultatu. Zawiedziona w rachubach Malwina nagle postanowiła zmienić taktykę i sama przysłała do Sękowskiego.

Na wstępie wizyty, kiedy usiłowała zaprowadzić jaki taki ład w izbie pana Józefata, w drzwiach stanął oświecony chłopiec. Był to syn jego siostry. W kuszyn płaszczu, świadczącym o uczeszczeniu do gimnazjum, piegowały, o perkamentym nosie — chciał wujka pocałować w rękę, ale nie została mu udzielona do tej ceremonii.

Wyrostek mógł mieć lat piętnaście i był uczniem gimnazjum w miasteczku. Przyszedł z miasteczka, żeby prosić o pomoc, gdyż jego owdowiała matka nie mogła opłacić kolejnej raty czesnego.

— A co, urzędników, darmozjadów będę hodować! Nie! — szorstko odparł wujek i nawet poczerwieniał na twarzy. Delikatnie, ale stanowczo wypchnął siostrzeńca do kuchni, nakazując tylko dać mu kapuśniaka i chleba.

W izbie panował półmrok, oszronione szyby niewiele przepuszczaly światła, w kuchni unosił się stęchły zapach ziemni i kartofli, zsypanych za przegródką z desek.

W chwilę potem Sękowski uchylił drzwi, wysunął głowę i powiedział:

— Jak zechcesz pracować, to u mnie latem możesz pilnować sadu w Zagósciniu!

Malwina próbowała bronić sprawy gimnazjalisty, lecz to nic nie pomogło. Zirykowała się i, mimo zaleceń Sękowskiego, tym razem także odrzuciła jego ręce, włożyła swój krótki kożuszek i wyszła. Może w obcowym odprawieniu piegowatego gimnazjalisty dostrzegła coś ze swojej przyszłej, przypuszczalnej sytuacji?

Na dworze huczał wiatr, otrząsał śnieg z gałęzi, podrywał go z łąk i karczowiska, sypał nim w oczy.

Gdy ktoś, jak ruchomy zwal śniegu, przejeżdżał traktem ujadaly brzęcząc łańcuchami psy pana Józefata.

Malwina bardzo żalowała swego odruchu. Ograniczyła teraz „chudozestwienie wieczera”. Jeśli się odbywały, to przeważnie nie miały w sobie nic dwuznacznego. Rosło w niej uparte przekonanie, że w końcu zostanie żoną Sękowskiego, marzyło się jej, że stoi przed ołtarzem czy też ołtarzem w złotym świetle skwierczących świec, w zapachu skwierczących świec, w zapachu skwierczących świec. Przy spotkaniach z sąsiadkami z radością słuchała częstych aluzji na ten temat.

Niestety, jak dotąd, nigdy te aluzje nie wychodziły z ust Sękowskiego, choć zdążyła się już do niego — albo tak się jej

wydawało — przyzwyczać jak do kogoś jednak bliskiego.

Czasem chciała pójść na chutor, żeby powiedzieć o wszystkim jak najszczerzej, zapytać go, czego się od niej spodziewa i czego ona sama może się spodziewać. Na chwilę stawała przed lustrem w okrągłej ramie, potem narzucała na głowę kraciastą chustkę, naciskała klamkę u drzwi i... cofała się. Może jeszcze za wcześnie? Niech ma czas, żeby się z nią zżyć...

Potem znowu szarpała nią bezsilna wściekłość. Czyż nie jest aż za ładna dla takiego z brzuskiem! „Biesowski syn” — kięła, żałując jednocześnie siebie, Sękowskiego i tych możliwości życiowych, jakie widziała w małżeństwie. Czego on od niej chce, przecież mogłaby być dla niego dobrą żoną?! rozmyślała, idąc wydeptanymi w śniegu ścieżkami pod chutor. Na nocnym niebie, jak rozsypane kapryśną ręką metalowe opilki, migotały gwiazdy, a ona wpatrywała się w nikle światelka z okien Sękowskiego. W takich chwilach była bliska płaczu. Gdy spod chustki wysypywały się zimne włosy i opadały na czoło, jakże pragnęła, żeby je ktokolwiek po prostu i bezinteresownie pogłaskał. Czasem wydawało się jej, że Sękowskiego kocha.

Raz zdarzyło się, że wracając spod chutoru spotkał ów plutonowy-kopista. Wtedy prawie bez słowa zaprowadziła go do siebie. Uważała, że robi to z pogardy dla siebie, Sękowskiego i całego świata.

Aktywność pana Józefata w tym czasie wyrażała się w wyjątkowo dużej ilości rozjazdów, nierzadko nie nocował nawet w domu. Zbliżały się bowiem terminy różnych licytacji na rzecz niewypelnionych wobec niego zobowiązań płatniczych. Wierzyciel już przygotowywał sobie ludzi, którzy na niektórych licytacjach będą występować niby to samodzielnie, ale w rzeczywistości za jego pieniądze. Podstawiał ich, by obejść ustawy, dotyczące nabywania ziem. Różne próby ugody i odroczenia terminów, proponowane przez niektórych dłużników, Sękowski teraz odsuwał w sposób bardziej stanowczy niż kiedy indziej. Odjeżdżał z chutoru, nie żałując przekleństw, wzywając kary bożej.

Pana Józefata istotnie zajmowała myśl o ożenku, myśl podsycona z różnych stron. Malwina — jak ją nazywał: kaczka, bo prawosławna — także była brana pod uwagę, ale przede wszystkim była bezpośrednim, zewnętrznym bodźcem, skłaniającym do rozważań na temat porzucenia kawalerstwa.

W zasadzie jednak nie miał upatrzonej kobiety, której istnieniem mógłby uzasadniać swoje coraz intensywniejsze zabiegi o pomnożenie stanu posiadania.

W lutym bywały południa, gdy obficie kapalo z dachów i ze strzech. Brzózki w przezroczystym powietrzu świeciły korą tak białą, jakby niedawno wytarto je mokrą ścierką, a jeśli to była niedziela — dzwony z cerkiewki miały czystszy, donośniejszy dźwięk. Dzieci przygotowywały szapkopnice; pod świeże, głębsze ślady na śniegu natychmiast podchodziła woda, zastygała na noc ciemnosino. W wietrze czuło się rześkość, ludzie chętniej się spotykali, mówili o wiośnie, choć mogła jeszcze dzielić od niej niejedna zameć.

W poniedziałek po ostatniej niedzieli lutego, dmącej kurniawą, rozeszła się po siole sensacyjna wiadomość, że Sękowski został zamordowany. Najbliższych sąsiadów zaalarmowała gospodyni, stara Weronika, która wróciła z niedalekiej wsi z niedzielnych odwiedzina u swoich.

Sękowski leżał przykryty brudnym prześcieradłem na łóżku, które raczej przypominało ubogie wyrko. Nie wszyscy przedtem wiedzieli, jak skromnie wyglądało wnętrze izby, zajmowanej przez pana Józefata. Podłoga była dziurawa, niektóre deski wyrwano minionej tragicznej nocy. Stół otaczały skórzane fotele, zięjące w wielu miejscach sprężynami. Jedno z okien, to od sadu, było od wewnątrz zabite deskami, ściany chyba od lat nie widziały pędzla i wapna. Sękowskiego zaduszono. Dokoła wałaly się brudne poduszki bez powłoczek.

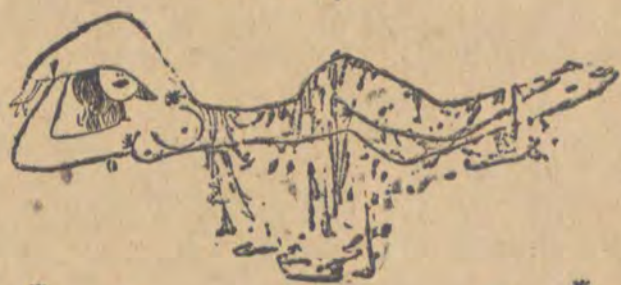
W kuchni tłoczyli się ciekawscy, na próżno rozpędzani przez komendanta policji, który przed chwilą przyjechał wraz z lekarzem.

Czy to był mord rabunkowy?

Na razie wyglądało na to, iż przestępca lub przestępcy nie ruszyli pieniędzy ani znajdujących się w dwóch szafach sreber i innych wartościowych przedmiotów, przyjmowanych przez zmarłego w zastaw lub skupowanych. Na podłodze szarzały zetlane strzępki i popioły weksli. Jedno więc było jasne: mordercy spalili wszystkie weksle i zobowiązania finansowe, wśród nich były chyba i podpisywane kiedyś właśnie przez nich.

Nikt oprócz starej gospodyni nie płakał po „paniczu” ani nie zdawał się być osobiście przejęty. Ludzie snuli przypuszczenia. Wśród tłoczonych się w kuchni i słońce mogli być i tacy, w czyich oczach tliło się zadowolenie z powodu zniszczo-

## TADEUSZ GICGIER liryki



A muza była czarna  
i stroszyła brwi,  
bowiem chciała być pierwszą  
muzą nastroszoną,  
chodziła promenadą  
kilku letnich dni,  
obnosząc twarz zamkniętą  
i nieodgadnioną.

Dnia siódmego, po burzy,  
gdy błyskawic krzyż  
zdjął z niej pieczęć, uczynił  
od uśmiechu widną,  
na małym czarnym skrzydle  
unosła mnie wzwyż,  
a gdy zamknęłam oczy —  
usunęła skrzydło.

Taką cię widzę: płomień smukły,  
który mnie, suchy krzew, owinie,  
i śmignęła trzcinę, by w czas smutny,  
w szelestów pełnej zapaść trzcinie,  
i jeszcze skrzypce — i na skrzypcach  
ta jedna nuta, najstrzelistsza.

A nadto widzę cię cyprysem,  
którym jest u nas krzak jałowca,  
i widzę cię dalekopisem  
jaskółki na niebie Mazowsza,  
a nad jaskółkę, trzcinę, płomień —  
widzę cię toba, wsparłą o mnie.

## zimowy owoc

Zima do górnych piętér podchodziła,  
w powodzi śniegów potonęły drzewa;  
płynąłem wąskim przesmykiem chodnika,  
ja cień przejrzysty, światło jarzeniowe,  
czując wyraźnie, jak się rozprzestrzeniał,  
jak cień wydłużam, jak światło unoszę,  
aby zawisnąć jasnością nad ziemią,  
który rdzeń mroku, serce ciemni noszę.

Ale parsnąłem w nos tym urojeniom,  
liczył się tylko chrzęst śniegu pod stopą,  
i ja konkretny: szal, kolnierz, kapelusz,  
podążający chytrze wilczym tropem,  
o, jak węszyć taką właśnie zimę,  
równinę bielei, dolinę księżycy,  
patrzeć: dłoń moja, a w tej dłoni trzymam  
owoc zimowy, śnieżne jabłko, styczeń.



nych dokumentów, nieodwołalnie umorzonych zobowiązań.

Wzdychano, dzieląc się półszepceniem uwagami. Ile właściwie w tych uwagach było solidarności z nieszczęściem, a ile może nawet solidarności z przestępcami — nie wiadomo.

Natężenie szepceniów wzmożło się, gdy w ścisku ujrano Malwinę. Choć weszła z przymrozku, pod głęboko, niemal na brwi nasuniętą chustką twarz miała szarawą, gdyż podobno od trzech dni bawiła w miasteczku z plutonowym-kopistą. Kto wie, gdyby wsiłowi nie widzieli jej w miasteczku, może znalazłaby się w czyichś myślach także jako podejrzana o udział w morderstwie?...

Malwina stała jak gdyby nikogo i niczego nie zauważając, choć oczy niektórych obecnych patrzyły na nią, od niej czegoś oczekując.

Czarne brwi Malwiny stały się wilgotne, to szybciej w zaduchu stopniał przymrozek z drogi w nich przyniesio-

ny. Gdyby była sama, może nagle zaczęłaby już nie płakać, lecz szlochać, taki w niej rozhuśtał się żal. Mordując Sękowskiego, zamordowano i jej nikłą nadzieję...

„Jak to może być — gnioła w palcach frędzle kraciastej chusty — żeby mnie i jemu nie było żadnej drogi do porozumienia? Tak robił, żeby go zabili, a nie chciał, na pewno nie chciał, żeby go zabili... Leży naprzeciwko w rzbie ten biesowski syn i nie ma już w nim żadnej chęci do interesów, a ja stoję żywa, ale komu to potrzebne?...”

Nadal tłoczono się, nie wiadomo na co czekając, mężczyźni częściej niż zwykle wyjmowali kapiuchy, sypali machorkę do cieniućkiej bibułki, ślinili jej brzegi i uważnie skręcali papierosa.

W obórcę ryczała krowa, o której tego dnia zupełnie zapomniano.

Po jakimś czasie Malwina postanowiła odnaleźć donicę i krowę wydoteć.

JAN HUSZCZA





## SPRAWA MARIANA KASPRZYKA

Dowiedzieliśmy się ostatnio, że Marian Kasprzyk jest kandydatem „na Tokio”. Słyszeliśmy już, że wznowił treningi i że czeka na uchylene dożywotniej dyskwalifikacji. Dożywotnia dyskwalifikacja sprawiała ponoć największą kłopotu. Uchylili ją? Owszem, można. Ale jeśli Kasprzyk znowu kogoś poturbuje... Zerwie się tumult, gwałt i nieprzyjemność gotowa. Oczywiście, trzeba wierzyć w moralną reedukację człowieka. Ale krzyż na sceptycyzmu nie zaszkodził, przynajmniej na codzienny użytek. Zwłaszcza, gdy sprawa jest odrobina wstydlawa. Jak sprawa Mariana Kasprzyka.

Pobit raz kogoś, rzecz udało się załagodzić. Puszczono ją w niepamięć. Potem znów pobit i tu już

tuszowanie nie pomogło. Był sąd i wyrok. Kasprzyka skazano za chuligaństwo. Sąd nie wystarczył. Do wyroku dołączono dyskwalifikację. Rzecz prosta, dożywotnią. Teraz Kasprzyk wyszedł z więzienia. Chce boksować. Cofnąć mu dyskwalifikację? Tak, ma dobrą opinię. Zachowywał się wzorowo. Przeszłość jednakże... Przeszłość nie budzi zaufania. A z drugiej strony... Kasprzyk był dobrym bokserem. Zdobył brązowy medal w Rzymie. Tylko brązowy, bo do półfinałowej walki nie dopuścili go lekarze ze względu na wcześniejszą kontuzję. Był już dobrym bokserem. Mógł być jeszcze lepszym. Zapowiadał się znakomicie. Teraz przy tył. Mógłby walczyć w wadze półśredniej. A nawet lekkośredniej.

Obie te wagi szwankują. Któż? Kućmierz? Siódła? Nie są to bokserzy najwyższego lotu. Kibice narzekają na nich. Martwią się, są strapieni. Zastąpić Knuta Kasprzykiem? Odwołać dyskwalifikację? Odwołać ją, niby to nie odwołując? Tylko ta przeszłość, ta przeszłość i to ryzyko...

Rozumiem tych, którzy się wahają. Tyle naopowiadali o wychowawczych aspektach boks. Tak długo kładli nam w głowę, że każdy mistrz to nie tylko mistrz. Spójrzcie na jego dłonie. Z ufnością popatrzcie mu w oczy. To są dłonie i oczy modelu. Przed wami nie stoi człowiek, to model moralny. Wzorec osobowy w koszulce z białym orłem na piersiach. Tak, rozumiem tych, którzy się wahają. Rozumiem i nie godzę się z nimi. Zdyskwalifikowali Kasprzyka. Skreślili z listy tych, którzy mogą uprawiać boks. Raz na zawsze. To dobrze świadczy o ich obywatelskiej porywczosci. Ale gorzej, znacznie gorzej świadczy o rozsądku.

Skazano Kasprzyka. Odsiedział swoje. Wyszedł z celi. Dlaczego ma nie boksować? Dlaczego nigdy ma już nie włożyć rękawic i nie przesuwać się między linami, wchodzić na ring? Czy stolarzowi, który okradł sąsiada, cech rzemieślniczy specjalną uchwałą zakazuje robić meble? Czy fryzjerowi, który wszczął na ulicy awanturę odbiera się dożywotnie prawo strzyżenia a tudzież golenia? Owszem, jeśli stolarz robił szafy, które waliły się na właściciela i robił to z premedytacją. I jeśli fryzjer, goliąc podrywał gardła klientom. Są to przestępstwa niejako zawodowe. A w każdym razie związane z wykonywaniem zawodu. Ale Kasprzyk nie polubował przecież ani siedzenia ringowego ani sędziów punktowych. Nie gonił też po halli tych, którzy dopinguwali jego przeciwnika. Gdyby to robił... Kiedyś „Moryc” Woźniakiewicz bokser łódzkiego „Zrywu” uderzył sędziego w ringu. Został zdyskwalifikowany. Ringu nie dożył. Nie mam nic przeciw dyskwalifikacji Woźniakiewicza. Ale Kasprzyk...

Wiem, już co usłyszę. Ze analogia nietrafna, że fryzjer i stolarz to zawodowcy, a bokser... Nasi bokserzy są amatorami. Amatorami czystej krwi. Założony. Nie miejsce tu na spór w tym względzie. Powiedzmy, że są amatorami. Ze boks to dla nich sprawa osobistych upodobań. Tak jak dla kogoś innego jest nią kolekcjonowanie znaczków, czy

lamp naftowych czy fajek. Kolekcjoner czasem popełnia przestępstwo. I czasem trafia do więzienia. Nikt jednak nie żąda od niego, by wyrzekł się kolekcjonerstwa. By do końca dni swoich nie zbierał już ani znaczków, ani lamp naftowych. To jednak kolekcjoner. Zaledwie kolekcjoner. Boks natomiast... Gdybyśmy w ten sposób traktowali naszych bokserów, co by się stało ze wzorcem osobowym? Z modelem moralnym? Gdzieżby się podział przykład dla młodzieży? Żywa, chodząca egzemplifikacja cnót w bokserkich rękawicach?

Na litość Boga, panowie. Przecież jeden bokser może być dobrym ojcem rodziny, a drugi nie. Jeden może przepadać za dziećmi, a drugi dzieci nie lubić. Zyciorys Joe Louisa nadaje się do czytania szkolnych. Ale zyciorys Sonny Listona? Sonny Liston miał męzną przeszłość. Przeszłość gangstera. Był w więzieniu. Wyszedł z więzienia. Boksował. Jest mistrzem świata w szwach wag. Joe Louis i Sonny Liston... Doprawdy są to rzeczy od boks niezależne. I z boksem niezwiązane. Można uprawiać boks i być aniołem. Można też być recydywistą. W obu wypadkach będąc wielkim, znakomitym bokserem.

Wzorec osobowy? Skoro upieramy się tak przy nim, to proszę bardzo. Możemy powołać do reprezentacji samych weteranów roku 1905. Będzie to reprezentacja moralnie bez zarzutu. Bez jednej plamki. Niczego nie trzeba tuszować, wybielać. Wszystko jest jasne, proste, przydatne. Nie chciałbym jednakże oglądać takiej reprezentacji w ringu. Byłby to smutny, przykry widok.

Boks — boks wyczynowy — nie jest rozrywką. Nie jest nią od dawna. To ciężka, trudna praca. Wykonują ją ludzie. Różni ludzie. Nie każdy jest bohaterem z wypisów dla dziatwy szkolnej. Nie żądajmy od nich zbyt wiele. Nie róbmy z nich wzorców. Nie zawsze są wzorami. I nie ogupiamy ich opowiastkami o modelu moralnym, który w nich mieszka. Skazujmy, jeśli są winni. Ale nie odbierajmy im rękawic. Puśćmy Mariana Kasprzyka na ring. Zrobmy to wreszcie. Zrobmy to jak najszybciej.

*Punch*



Niegdyś tak lubiana i popularna — dziś niemal zapomniana przez nie-wdzięczną publiczność polską. Kto? Gina Lollobrigida. Skoro nie mamy szans zobaczyć żadnego z jej nowych filmów — spróbujmy się dowiedzieć co też ona sama ma do powiedzenia o sobie.

„Dzieciństwo miałam szczęśliwe. Mieszkałam w małym miasteczku, w którym wszyscy się znali. Mechanik w kinie miał miły zwyczaj wycinania z filmów scen miłosnych i demonstrowania ich ścisłemu kółku przyjaciół. Oczywiście należałam do tych przyjaciół. Studiowałam w Akademii Sztuk Pięknych w Rzymie i nigdy nie myślałam o tym, aby być aktorką. Ja nie szukałam drogi do filmu, to film mnie poszukiwał. Byłam statystką, ale mi to nie odpowiadało. Przekonałam się do pracy aktorskiej po mojej pierwszej wielkiej roli w „Fanfanie Tulpanie”.

„Moje gusty literackie są dosyć skromne. Lubię powieści psychologiczne i obyczajowe. Bardzo lubię muzykę, szczególnie muzykę wokalną. Sama chętnie śpiewam, śpiewałam w wielu moich filmach. W dziedzinie plastyki najbardziej cenię rzeźbę, nie lubię i nie rozumiem malarstwa abstrakcyjnego.

Jestem przeważnie do pieniędzy i bardzo lubię je wydawać. Mam poczucie humoru, a miłość zajmuję w moim życiu największe miejsce. Bardzo rzadko jestem prawdziwie zadowolona ze swoich ról...”

Tyle mówi Gina. Natomiast uchyla się wyraźnie od sprecyzowania swoich poglądów na grę aktorską i na rolę reżysera we współpracy z aktorem. „Po co mam zniechęcać do siebie ludzi, na których może mi kiedyś zależeć?” Rzeczywiście, po co?

OPrac. EL



Rys. Adama Kiliana do programu „Krakowiaków i Górali”

Co tam panie w Krakowie

Kraków w styczniu. Nowy rok rozpoczęty pod znakiem ożywionego życia teatralnego i jubileuszu czcigodnej Akademii Jagiellońskiej. Chciałoby się o wszystkim po trosze napisać i tchnąć w te informacje coś z niepewnością i jedynej w swoim rodzaju atmosfery tego miasta. A to bardzo trudno.

Zacznijmy od sprawy, której część krytyków nadaje cechy skandalu. Od nowej inscenizacji gogolowskiego „Rewizora” w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie. Reżyser i scenograf przedstawienia, Józef Szajna, spadkobierca schedy teatralnej po Skuszance i Krasowskim, poczyna sobie z „Rewizorem” dość bezceremonialnie. Nie z realizmu w dekoracjach i kostiumach, szokujące pomysły plastyczne, zawierające w sobie

skomplikowaną symbolikę, chwylami w niezamierzony sposób śmieszne.

Nie tylko o „Rewizorze” mówi się w Krakowie jako o „skandalu”. Stary Teatr wystawił właśnie w reżyserii Ziemblińskiego sztukę brazylijską Rodrigueza „Złoty pysek”. I oto na posiedzeniu budżetowym Miejskiej Rady Narodowej najsędziwszy działacz polityczny Krakowa, dr Bolesław Drobnier, wystąpił z ostrym atakiem na to przedstawienie. Zdaniem nestora ze sceny padają słowa tak nieprzychylnie, że sprawą powinna zainteresować się prokuratura. Chwalebna troska dr Drobniera o kulturę życia codziennego jest zdaniem większości, w tym wypadku chyba trochę przesadzona.

Do ciekawostek w życiu teatralnym Krakowa zalicza się występy Teatru Faktu z programem „Romeo i Julia za czwartym fałochronem”. Jest to montaż autentycznych listów nadsyłanych przez młodzież do redakcji „Dokoła Świata”, wygłaszany przez grupę młodych aktorów z Teatru Rozmałości. Grupie tej przewodniczy kierownik literacki tego teatru Ryszard Smożewski. Program, który prezentowany jest na schodach w westybulu teatralnym, bawi, czasem wzrusza, ale przede wszystkim wprowadza w sam gaszcz trudnych spraw młodego pokolenia. Ciekawy i ambitny eksperyment.

W Starym Teatrze pod nową dyrekcją Zygmunta Huebnera oglądać można „Wesele” Wyspiańskiego w reżyserii i oprawie plastycznej Andrzeja Wajdy, który coraz częściej zdradza film dla teatru. Jednocześnie w kameralnej sali tego teatru dużym powodzeniem cieszą się dwie sztuki Sławomira Mrożka „Zabawa” i „Śmierć porucznika”. Pierwsza z nich to jak niektórzy mówią anty-„Wesele”, nawet napisana jest wierszem imitującym Wyspiańskiego. Kpiący, satyryczny ton pisarstwa Mrożka bezlitośnie obnaża usypiający czar „Wesela”.

Pomysł dla drugiej z prezentowanych sztuk zaczerpnął Mrozek z autentycznego faktu. Oto Adam Mickiewicz zasłyszał był niezbyt ścisłą relację o obronie Woli w 1831 roku i o bohaterstwie do-

wódcy jednej z redut, kapitana Juliusza Ordona. W oparciu o ową relację napisał poeta swój znany wiersz „Reduta Ordona”, według którego dzielni oficer poniosł śmierć, wysadzając swą redutę w powietrze, by nie oddać jej wrogowi. Wiersz wzruszający, ale rozmiągający się z prawdy historyczną. Ordon bynajmniej nie zginął w tej bitwie, wyemigrował po powstaniu za granicę i żył jeszcze długie lata wbrew wierszowi Mickiewicza. To wydarzenie dostarcza Mrożkowi pretekstu do satyrycznej rozprawy z bohaterstwą i romantycznym patosem. Dodać chyba jeszcze należy, że wystawienie tej sztuki Mrożka zapowiada jeden z teatrów łódzich.

Krótki spacer po teatrach krakowskich zakończy w szacownym Teatrze im. Słowackiego, który z okazji siedemdziesięciolecia istnienia wystawił śpiewogrę Wojciecha Bogusławskiego „Krakowiacy i górale”. Reżyser przedstawienia — dyr. Bronisław Dąbrowski nie powtórzył znanej dobrze w Łodzi inscenizacji Leona Schillera, ani nie sięgnął do dekoracji Władysława Daszewskiego. Inscenizacja Dąbrowskiego ujmuje — według jego własnych słów — „Krakowiaków i górali” „w stylu prymitywnej, teatralnej zabawy osnutej na świadomym znaczeniu historycznego stylu widowiska i przekształceniu go w formę obrzędowo-ludowej zabawy, w teatr lalek i bawidełek dekoracyjnych”.

Stylizowana, interesująca oprawa plastyczna „Krakowiaków i górali” jest dziełem Adama Kiliana. Stare melodie Stefaniego i Krupińskiego uzupełniono pieśniami obrzędowymi i przyspiewkami krakowskimi i podhalańskimi, obficie zaczerpniętymi z Kolberga.

Gdybym miał dokonać wyboru, który ze spektakli oglądanych w Krakowie uznać za najlepszy i którego wyróżnić reżysera, po namyśle odpowiedziałbym chyba: Widowskim, które najbardziej mi się podobało jest Collegium Maius, a za najlepszego reżysera uważam prof. Karola Estreichera. Dobrze, ktoś mi powie, ale prze-

cież Collegium Maius to najstarszy budynek Uniwersytetu Jagiellońskiego, a prof. Estreicher jest jego rekonstruktorem i konserwatorem. Więc gdzie tu widowisko, gdzie reżyseria? A jednak. Po Collegium Maius chodzi się nie jak po muzeum. Estreicherowi przy pomocy jemu tylko wiadomych sztuczek (być może, iż z zapisaniem duszy diabłu włącznie) udało się podźwignąć tę budowlę i przywrócić jej domniemany wygląd z XVII czy XVIII wieku, a przy tym tchnąć w nią ducha tych czasów. Nie będę tu relacjonować ekspozycji w Collegium Maius, bogatego skarbca z berliami królowej Jadwigi i Oleśnickiego, astrolabów i kwadrantów, kopernikańskich tyglów i retort w pracowni alchemicznej. Tego się nie da opisać, to trzeba zobaczyć.

Collegium Maius odrestaurowane zostało w ciągu dwudziestolecia Polski Ludowej. W obecnym stanie stanowić będzie jedną z głównych atrakcji tegorocznych uroczystości związanych z 800-leciem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Przygotowania do obchodów są w pełnym toku. Główny ich ciężar spoczywa na samej uczelni, ale współuczestniczy w nich całe miasto. Program zapowiada się bardzo atrakcyjnie.

A oto garść informacji, jakie udało mi się na ten temat nieoficjalnie uzyskać.

Rozpocznie się 10 maja wręczeniem ponad trzydziestu doktoratów honoris causa uczynom zagranicznym i krajowym. Podobno w ich liczbie znajdować ma się aż pięciu laureatów nagrody Nobla. Często wymienia się nazwisko ubiegłorocznego laureata w dziedzinie literatury pięknej — pisarza jugosłowiańskiego Ivo Andrića, który ukończył krakowską uczelnię przed I Wojną Światową.

Po honorowej promocji senat, profesura, doktoranci i delegacje innych uczelni krajowych i zagranicznych przejdą pochodem na Rynek, gdzie odbędzie się spotkanie ze społeczeństwem. Przy tej okazji wykonana zostanie po raz

pierwszy kantata Grażyna Bacewiczówny, komponowana specjalnie na tę uroczystość. Po południu na dziedzińcu arkaadowym na Wawelu przybyła z całego kraju młodzież akademicka złoży uroczyste śluby Polsce Ludowej. W tymże miejscu w godzinach wieczornych Teatr im. Słowackiego wystąpi ze spektaklem „Odrpawy posłów greckich” Jana Kochanowskiego. Następnego dnia odbędzie się sesja naukowa oraz oddany zostanie do użytku supernowoczesny obiekt — gmach Wyższej Szkoły Rolniczej.

Kraków lubi także żart i anegdotę i właśnie dlatego na koniec parę anegdot.

W tym roku akademickim uruchomiona została filia UJ w Katowicach. Na inaugurację zjechali na Śląsk dostojni profesorowie, by przedefilować ulicami miasta w togach i biretach. W związku z tym nie przywycieczeni do takich widowisk katowiczanie mówili, że to sesja wyjazdowa Soboru Watykańskiego...

Prof. Estreicher postanowił przed kilkunastu laty przenieść pomnik Mikołaja Kopernika z podwórca Collegium Maius na Plac. Miał dla tego posunięcia swoje historyczne racje, nie wszyscy się jednak z tym zgadzali. Jeden z oponentów dzwonił o pierwszej w nocy do mieszkania ówczesnego wiceprezydenta miasta.

— Panie prezydencie — woła w słuchawkę w podłączeniu — dziś wieczorem stała się rzecz straszna. Największy uczonej polski Mikołaj Kopernik został eksmitowany z Collegium Maius i stoi na Placach.

— Spokojnie, profesorze — odpowiada wiceprezydent. — Po co się denerwować? Przyjdzie do mnie jutro, do biura, przyjdziemy temu uczonemu mieszkanie i po krzyku...

(Pierwszą z anegdot powtarzam za prof. Kazimierzem Wyką, a drugą za wiceprzewodniczącym Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie — Janem Garklickim).

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI



# ZAPROSZENIE DO ZABAWY

Oglądaliśmy w tym sezonie w Teatrze im. Jaracza sztuki wielkie i wzniosłe, dzieła narodowe w treści, i rewolucyjne w formie, lub na odwrót, tudzież sztuki drapieżne, ale za to inne — patetyczne. Sztuki dla przewrotnych, znudzonych intelektualistów i sztuki dla wdzięcznej masowej widowni młodzieżowej. Lecz dopiero ta sztuka jest sztuką do prawdy niezwykłą, dokonał jej sam mistrz Jean Anouilh, jednocząc wszystkich w podziwie dla zręczności swej, jaką jest wielce udana próba zaspokojenia tęsknot ogólnoludzkich. Do śmiechu.

Człowiek zmęczony pracą i dreptaniną życiową, tudzież całorocznymi głębiemi teatru problemów moralno-filozoficznych, zmuszających do ciężkiej pracy czyli do myślenia, znajdzie w „Zaproszeniu do zamku” swój, przystępujący mu w czas karnawału, relaks; młódź współczesna ujrzy elegancki salonowy ubaw, z turlaniem się po podłodze, a żądni wiedzy dramatycznej widzowie — mają w programie „słowo” o Anouilhu pióra Stanisława Bruca, ową pomrukującą wielką uczonością grubą Bertę eseistyczną, napisaną gwoli pa-

mięć, iż śmiech czy kryć może, iż w każdej komedii czai się dramat, a w pozornie beztroskiej rozrywce, nieczym w łapach drzemającego Iwa, lubo w pysku łagodnie śpiącej żmii, skrywać się mogą niewidoczne pazury intelektu, albo i żądo krytyki współczesnej, wymierzone (w „Zamku”) w zgniłą moralność paskudnych arystokratów, blażeńskie pieczeniactwo parweniuszy i obłudę niecznych mieszczan. Nam się widzi również, że żądło Anouilha — jeżeli już go się dopatrywać w tej sztuczce — tyka także owej „istoty szczerzej i czystej z nizin społecznych”, odrzucającej z głęboko ludzką dumą nieludzkie kaprysy „panów” zapraszających ich na jedną noc do Zamku, podczas gdy „istota” czeka z oskomą bajkowego Kopciuszka na królewiczkowe zaproszenie tam na stałe.

Teatr, w trosce o nasz śmiech bezinteresowny, te jady i pazury nieco stepi, kryjąc je właściwie w miękkich, acz nieco przetartych miejscami rekwizyczkach poczciwej, nieco fin-de-siècle'owej farsy, co widoczne było zwi-

aza w scenach i postaciach Lady Doroty Indii i Patryka Bombelles w wykonaniu całkiem znamienitych artystów pp. Kozierskiej i Przybylskiego, ale za to dla odmiany uraczył nas bogactwem różnorodnych propozycji aktorskich, przechodzącym chwilami w embarras de richesse. Inna rzecz, że ta „różowa” komedia Anouilha, niby to pisana przeciw bulwarowym sztukom francuskim, niby też zerkająca na dziełstwo szekspirowskie, wcale z chwytów pogardzanych sztuczek bulwarowych nie rezygnuje, prowokując do owego nadmiaru propozycji aktorskich. Lecz któż zabroni nam wybrać sobie z tego bogatego stołu kęski najsmakowitsze, właśnie ze smakiem i smaczkami dialogu podaną rolę pani Desmormotes w wykonaniu Hanny Malkowskiej, jednolicie komediową; z pewną dezinwolturą (acz bez warszawskiej nonszalancji Łapickiej w tej roli) nowoczesnymi środkami zaznaczoną postać Horacego (Krzysztof Chamiec), któremu może jednak w robocie aktorskiej brat, Fryde-

ryk, lepiej się udał, wycielowana, żmijowatą w rysunku psychicznym (tudzież zachwycającą cielesnym) Żydówkę Dianę Messerchman w ciekawym ujęciu Ewy Mirowskiej.

I właściwie ukrzywdziłoby się kamerdynera (Wróblewski) i domownicę Pannę Capulat (Molicka), gdyby zapomnieć o nich; w tym dobrze wychowanym towarzystwie nietaktem jest zapominać o służbie; już mniejszym, nietaktem służby recenzenckiej zapomnieć jest o którejś z reszty ról, zwłaszcza jeśli te nietaktki są wynikiem nie taktyki, a przedziwnie łatwego sposobu zapomniania tego, co się w pamięci szczególnie nie utrwała, jak m. in. konwencjonalna pozbawiona dowcipu a „prosząca się” „o-n” scenografia Ewy Soboltowej, przez to właśnie w swej funkcjonalnej oszczędności — niefunkcjonalna.

Teatr im. Jaracza: „Zaproszenie do zamku” Jean Anouilha, reżyseria Feliksa Zukowskiego, scenografia Ewy Soboltowej.



Hanna Malkowska, Alina Kulikówna i Krzysztof Chamiec  
Fot. F. Myszkowski

## ROMAN ŁOBODA



„Czarownice z Salem”, jedna z najciekawszych sztuk Artura Millera, została wystawiona jako pokaz pracy dyplomowej w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej im. Schillera w Łodzi. Reżyser, prof. Natalia Szydłowska odczytała Millera w sposób korespondujący z aktualnymi stosunkami polityczno-obywatelskimi w Ameryce.

Mary Warren, młoda służąca państwa Proktor, w ujęciu reżysera staje się osi, stykiem dwóch światów: sądzącego i sądnego. Jak to niekiedy bywa, światem sądnym staje się świat, który sam w nien być sądnym. Pomiędzy tymi

dwoma przeciwstawnymi siłami znajduje się Mary Warren — ona musi wybrać. (Ta rola jest zrobiona z talentem). Bezwzględność obu wrogich światów wyraźnie uderza w przerażoną dziewczynę: — Jeżeli jesteś z nami, to nie możesz świadczyć o prawdzie, która nie jest nasza. — Prawie słyszy się głos sędziów. Dziewczyna wybiera życie.

Rozbulał się w Salem szatan. Powtórzył gdzie mógł i gdzie nie mógł; gdzie najmniej się go spodziewano; osiadł sobie wygodnie w „duszczykach”, że ani rozdzielił światła uroku od światła światłości. A w samym najwyższym „sądzie” rozpart się szeroko sam najwyższy szatan. Sędzia Dauporth w związku z tym za bardzo kostyczny w interpretacji aktora, a za mało sataniczny; ta sataniczność chwilami, mimo pozorowanej łagodności, przejawiała się w Wielebnym Hale.

Tak więc byli: prawdziwie nawiedzeni przez „szatana” i pozornie nawiedzeni przez niego, a ponieważ pozór nielatwo odróżnić od prawdy, skazywano na śmierć tylko tych, którzy nie przyznawali się, że są mieszkańcem Złego. Zabieg nad wyraz logiczny i nad podziw skuteczny. Prawda wyluskiwała się sama: z jednej strony cudownie uzdrowieni, a z drugiej łok pod szubienicą. „Lawnikami” zostali; Abigail Williams (bardzo dobrze w ekspresji przeprowadzona rola), Mercy Lewis i inne dziewczęta oddające się w lesie „szatańskim praktykom” ni-

by za namową Murzynki Tituby (wyrzista kreacja). Na tę czarną, jak to bywa w Ameryce, zwały dziewczęta — głównie Abigail — (dobrze przewrotna) całą wzię i wesły w poczet świętych, rozpoznających szatana w człowieku.

W więzieniu i pod szubienicą coraz gęściej. Najpoboźniejsza, stara kobieta z Salem, Rebeka Nurse, nie łamię się, ona na pewno wie, i inni też, że w niej szatan nie zechciał zamieszkać. (Dość konsekwentna). Podobnie Elżbieta Proktor, gdyż zna dokładnie rozkoszne siedlisko szatana. (Bardzo oszczędna w geście i tonacji). Jan Proktor, jej mąż, też wie. Wie wszystko. Może zatem uratować Salem; on, który zna początki złego i zna jego skutki; ba, nawet drogę rozwoju — jest potencjalnym mężem opatrzciościowym Salem (Ameryki)? i w jego ręku leży zbawienie. (Proktor ekonomiczny w środkach, wyrazu). Zatem ten syn marnotrawny po czyjej stronie? Nurse odetchnęła. Pójdą razem na szubienicę.

Sędzia oniemiał. Czyby duch inkwizycji opuścił świat?

Reżyser chyba nie siłił się na zbyt odkrywcze koncepcje przedstawienia, mając zapewne na uwadze przede wszystkim warsztat adeptów sztuki aktorskiej, i rolę szkoły w tym względzie, co niewątpliwie zostało uwiecznione powożeniem.

Kilka interesujących talentów wydziału niebawem poza mury szkoły, na sceny polskie.

# Zobaczyć to zrozumieć

„Każdy ma swój punkt widzenia, tylko nie każdy z tego punktu coś widzi”.

Bruno Winawer

w parku przegniła kładka, wezwał miejscowego cieślę i polecił mu wykonać nową.

— Tak jest, ale to potrwa. Muszę sprowadzić bale dębowe.

— Proszę zrobić z drewna, jakie jest. Byle zaraz.

— O nie — obruszył się rzemieślnik. Tego nie zrobię. Za dwadzieścia lat trzeba będzie ją zmieniać, a ludzie powiedzą, że stary Smith był partaczem.

Se non e vero e ben trovato. Niestety, z konfrontacji dwóch mentalności ta bardziej nowoczesna nie wychodzi najlepiej nie tylko w anegdotcie.

Kilka lat temu, na jednej z narad paryskich poświęconych estetyce przemysłowej, prof. Brachfeld z Barcelony postawił tezę, że człowiek współczesny odznacza się charakterystycznym donżuanizmem. Nie przywiązuje się uczuciowo do przedmiotów, które go otaczają, do rzeczy jako swojej własności. Dawniej pewne dobra przechowywano z pokolenia na pokolenie, ceniono je i pielęgnowano, dzisiaj wyrzuca się bez żalu wszystko, co wyszło z mody.

W polemice krytyk, Aleksander Szombati starał się wykazać, że

to nie człowiek zdradza, że zdradzają właśnie przedmioty. O sie wytwory dawnych epok wyróżniały się solidnością materiału i wykonania, o tyle dzisiejsza produkcja jest wyjątkowo tandetna. Przedmioty przedko zużywają się i psują, po krótkim okresie eksploatacji nadają się tylko do wyrzucenia.

Uwaga na pewno trafna. Ale czemu tak się dzieje?

Swego czasu amerykański „New Deal” rzucił hasło utrzymania za wszelką cenę poziomu produkcji. Ustalono, że — „aby handel szedł” — trzeba odzwyczałać klienta od nawyku gospodarności. Od tej chwili zamiast jednej lodówki powinien w zaplanowanym okresie czasu nabyć dwie, zamiast jednego samochodu — dwa. Nie należy więc produkować rzeczy zbyt solidnych, nie wolno dopuszczać, by opłacało się je naprawiać.

Równocześnie postanowiono zastosować tani, ale zawsze skuteczny chwyt psychologiczny, dobrac się do ambicji konsumentów. Wiadomo, że samochód, telewizor, lub — w pewnych sferach — komplet śniadanych, aluminiowych naczyń, kuchennych, obok ściśle użytkowej, pełnią funkcję reprezentacyjną, podnoszą pre-

stż jednostki czy rodziny, dokumentują przynależność do określonej grupy społecznej. Począto więc zmieniać co roku wygląd zewnętrzny, obudowę wytworów przemysłowych, tak, by chociaż zdane jeszcze do użytku, wydawały się właścicielowi przestarzałe i kompromitujące. Nawet zakłady Forda, które przedtem szczyliły się nie zmienionym od 1913 roku modelem taniego samochodu, nie wytrzymały presji mody i przystąpiły do wyścigu o pozory. Wkrótce też zasady „kalkulowanej przestarzałości” przyjęły się na rynku europejskim.

W rezultacie jednym z najbardziej znamienitych rysów naszej epoki jest szybkie starzenie się wyrobów sztuki użytkowej. W pewnym stopniu, z innych zresztą względów, dotyczy to również architektury. Fabryki nowoczesne starzeją się niemal z dnia na dzień. Nowe ulepszenia techniczne, nowe wynalazki zmuszają do unowocześniania parku maszynowego, co zazwyczaj pociąga za sobą konieczność przebudowy, często kosztowniejszą niż budowa całkowicie nowych obiektów. Nie ma sensu wznosić pomnikowych gmachów, solidność nie pociąga. Podobnie przedstawiają się sprawy budownictwa mieszkaniowego. Po co projektować domy dla iluś tam przyszłych pokoleń, skoro już nasi synowie zechcą mieszkać inaczej, wygodniej i bardziej nowoczesnie? I dlaczego

im właśnie ma się podobać to, co podoba się nam?

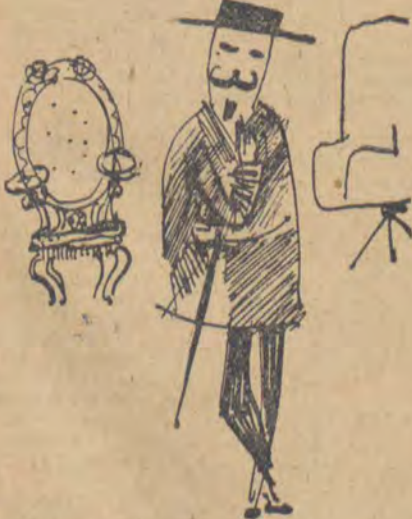
Adolf Loos, austriacki pionier architektury modernistycznej głosił teorię, że projektując budowle lub przedmioty sztuki użytkowej należy planować ich trwałość estetyczną. Inaczej mówiąc, przedmiotom, których istnienie oblicza się na wiele lat, nie nadawać formy aktualnie modne, z modą przemijającą.

„Moda tworzy rzeczy piękne, które z czasem stają się brzydkie, sztuka — rzeczy brzydkie, które z czasem pięknieją” — powiada pani Chanel, a ona przecież się na tym zna.

Tezę Loosa odwrócił u nas Juliusz Goryński, postulując zasadę używania estetycznego: trwałość tworzywa powinna być dostosowana do trwałości estetycznej przedmiotu. Gdy entuzjastycznie się formą, którą narzuca przejściowa moda, nie stosujemy jej w przedmiotach trwałego użytku.

Wszystko to być może prawda... ale nie rozgrzeszamy się zbyt pochopnie. „Donżuanizm” o którym mówił dr Brachfeld, niestałość współczesnego człowieka jest faktem o wielkim znaczeniu społecznym. Dawniej ludzie wrastali niejako w środowisko, dziś zanika pojęcie „domu rodzinnego”. Dziś nie przywiązujemy się do przedmiotów, co będziemy lekceważyć jutro?

HENRYK ANDERS



Pewien amerykański milioner kupił w Anglii posiadłość ziemską. Zauważywszy, że nad strumykiem





Fot. J. Kotecki

## K. I. GAŁCZYŃSKI W NIEBOROWIE

Muzeum Narodowe w Nieborowie uczciło wystawą 10 rocznicę śmierci K. I. Gałczyńskiego, śpiewcy słynnej antycznej rzeźby Niobe z Nieborowa. W Białej Sali pałacowej - gdzie poeta miał poranki autorskie - wypożyczone kilka rękopiśmiennych utworów, a wśród nich pełny tekst pięknej poematu „Niobe”. Obok autografów pokazano tekst drukowany, ułatwiający orientację w pozycjach, uzupełnieniach lub określeniach. Autografy wypożyczone ze zbiorów p. Natalii Gałczyńskiej.

Uwagę zwiedzających zwracają wszystkie drukowane utwory K. I. Gałczyńskiego, w tym rzadkie druki bibliofilskie polskie i czeskie, nagrania płytowe „Niobe” i „Zaczarowanej dorożki” w znakomitym wykonaniu autora, fotografie (m. in. z pobytu w Nieborowie), rysunki, książki z własnej warszawskiej biblioteki domowej oraz dzieła różnojęzyczne z księgozbioru nieborowskiego, które K. I. Gałczyński czytał w Nieborowie w latach 1949-1952. Jak podaje napis wylotony w jednej z gablot Gałczyński miał talent do języków. Znał dobrze nie tylko angielski, francuski i niemiecki, lecz także łacinę i grekę. „Boską komedię” Dantego czytał po włosku. Władał także rosyjskim i czeskim, a w niewoli hitlerowskiej uczył się hiszpańskiego. Niezwykle interesujące są egzemplarze autorskie „Niobe” z dedykacjami, m. in. dla wybitnego karykaturzysty Jerzego Zaruby, kustosa Muzeum w Nieborowie doc. dra Jana Wegnera i jego żony oraz łowczego działacza kulturalnego Maurycego Klimeckiego.

Na egzemplarzu „Niobe”, ofiarowanym Jerzemu Zarubie czytamy:

„Jerzemu Zarubie  
dzisiaj,  
wczoraj,  
onegdaj,  
jutro,  
pojutrze,  
za tysiąc lat  
i w tej chwili: K. I. GALCZYŃSKI  
Warszawa MCMLII

A oto dedykacja na egzemplarzu „Niobe”, przestany do Nieborowa z leśniczówki w lasach olsztyńskich:

„Na świadectwo niezmarowanych godzin w  
Nieborowie  
Inspiratorowi tego utworu kustoszowi drowi  
Janowi  
Wegnerowi oraz Jego Małżonce z wielką  
przyjaźnią  
K. I. GALCZYŃSKI  
3 sierpnia 1951  
Haec ego Constantinus pro perpetua rei memoria  
scripsi”.

Na innym zdefektowanym egzemplarzu „Niobe” o niezadrukowanych 7 stronach, K. I. Gałczyński położył taki napis:

„Ob. Maurycy Klimecki w Lowiezu  
Jest Pan posiadaczem najcenniejszego  
egzemplarza  
„Niobe”, który najwierniej odbija szcątkowy  
stan rzeźby „Niobe” nieborowskiej  
z pozdrowieniem  
K. I. GALCZYŃSKI  
Nieborów, 22 maja 1952

Z okazji tej interesującej wystawy Muzeum Narodowe w Nieborowie wydrukowało specjalne zaproszenia oraz tekst wiersza Władysława Broniewskiego pt. „Pamięci K. I. Gałczyńskiego”.

### FILMY O TECHNICE

Na świecie rocznie produkuje się około 15.000 filmów, poświęconych problemom technicznym.

Wszystkie te filmy będą rejestrowane w nowo powstałej Międzynarodowej Centrali Informacyjnej w Budapeszcie.

### GOBELINY

Na Węgrzech tkaniem gobelinów zajmuje się 2.600 kob. W bież. roku do różnych części świata zostaną wysłane gobeliny o wartości 20 mln forntów.

### NIENZANE RĘKOPISY B. BRECHTA

W Sztokholmie niedawno odnaleziono nieznanne rękopisy znakomitego poety i dramaturga z okresu, gdy przebywał na emigracji w Szwecji.

Znajduje się wśród nich szkice historycznego dramatu, poświęconego walkom o niezawisłość kraju w XV wieku. Jego tytuł zawiera imię bohatera narodowego Engelbrekta - Engelbrekta - sona.

Szkice, wiersze i dokumenty znajdują się na wystawie w bibliotece królewskiej, której zorganizowanie przewiduje się na kwiecień.

### AKWARELE GOETHEGO

Naukowcy czescy i niemieccy z NRD ustalili, iż osiem akwarel i rysunków, przypisywanych dotąd nieznanemu artyście, należy do Goethego i powstały w Karlovyh Varach. Tematem ich są okolice tego uzdrowiska. Zidentyfikowano nawet miejsca, gdzie powstały poszczególne akwarele.

### BIBLIOTEKA IM. SALTUKOWA - SZCZEDRINA

14 stycznia upłynęło 150 lat od uroczystego otwarcia biblioteki publicznej imienia wielkiego satyryka.

Leninradzka biblioteka należy do powszechnie znanych ze swoich zasobów książkowych i rękopiśmiennych, w jej zbiorach znajdują się materiały do dziejów powstania polskiego, autografy Mickiewicza, Szopena itd.

W dzień otwarcia Biblioteka dysponowała 2.334 wydaniami rosyjskimi, miała czytelników o 46 miejscach, odwiedziło ją w ciągu pierwszego roku 369 osób.

W ub. roku wydano 9 mln. książek. Biblioteka ma 133.500 statycznych czytelników!

### ANTOLOGIA POEZJI FINSKIEJ

Co my wiemy o tej poezji? Niestety, właściwie nic. Dlatego odnotujemy, iż po ro-

syjsku ukazała się duża antologia - 559 stron - poświęcona 53 poetom, zawierająca 320 wierszy, przetłumaczonych z fińskiego i szwedzkiego, bowiem szwedzko-fińska literatura rozwija się razem ze szwedzką aż do odłączenia Finlandii od Szwecji w 1809 roku. W drugiej połowie XIX wieku literatura w języku szwedzkim jest coraz słabiej reprezentowana ilościowo, choć miewa utwory artystycznie celne. Przypomnijmy, że fiński hymn narodowy, którym jest pieśń „Nasz kraj”, został przełożony ze szwedzkiego.

Najwcześniejszym poetą w antologii jest E. Lönnrot (1802-1884), który zebrał dawne pieśni ludowe w narodową epopeję „Kalevala”, a jej fragmenty na polski przetłumaczył w swoim czasie Jan Brzechwa.

★

Dramaturgia Jeana Geneta, znana u nas dzięki zamieszczonej w „Dialogu” przekładom „Pokoju” i „Balkonu”, budzi ostatnio szczególne zainteresowanie wśród reżyserów filmowych. Po „Pokoju” wersji filmowej doczekał się „Balkon”. Premiera amerykańskiego filmu w adaptacji i reżyserii Josepha Stricka wywołała w Paryżu poruszenie. Recenzenci pamiętają jeszcze film zrealizowany na podstawie „Uwięzionych z Altony” Sartre'a, który został uznany za masakra znanego dramatu. W przypadku Geneta, krytyka francuska również jest jednogłówna i uznaje „Balkon” tak jak i wcześniejsze „Pokoju”, za zdefiniowanie intencji dramaturga. Tragiczna farsa Geneta zamienia się w filmową odmianę perypetii Guignola. Mimo respektu dla tekstu oryginalnego „Balkon” odnajdujemy w filmie tylko dziełki spisu postaci w czołówce. Gorzkie uwagi recenzentów mają również charakter natury ogólnej: może rozbieżność między współczesnym teatrem a filmem jest większa niż to było w okresie tradycyjnym.

★

Françoise Sagan pisze ostatnio coraz chętniej dramaty. W styczniu przewidziana była premiera jej najnowszej sztuki „Bouheur impasse” w „passo”. Czytelnik odnajduje w niej wszystkie ulubione przez Saganke schematy dramaturgiczne: bohaterowie w kłopotach finansowych, małż. - zazdrośnik, kapryśna żona, brat - świadek małżeńskiego nieszczęścia, ważną rolę odgrywa również fotel na kół-

## STANISŁAW CHRUSZCZEWSKI

### STANISŁAW CHRUSZCZEWSKI umarł.

Umarł w mieście które opisywał i które mu służył od wielu dziesiątek lat jako dzien nikarz. W roku 1915 Stanisław Chruszczewski miał już za sobą dziesięć lat pracy dziennikarskiej. W przyszłym roku obchodziliby sześćdziesięciolecie tej pracy. Należał do przyjaciół Tuwima. Drukował pierwsze wiersze Tuwima w „Nowym Kurierze Łódzkim”, gdzie pracował. Do końca nosił przy sobie listy poety, jeszcze na kilka dni przed śmiercią poka-

zywał te listy w redakcji. Zawsze okazywał życzliwość i zainteresowanie młodszymi kolegami. W ubiegłym roku współpracował z „Odgłosami”. Pisał cykl „Anegdota z myszką” - krótkich wspomnień o starej Łodzi. W kalendarzu redakcyjnym podkreślił datę 23 stycznia. Mieliśmy się spotkać z red. Chruszczewskim i omówić z Nim nowy cykl. Niestety, spotkanie to nie nastąpi. Najstarszy dziennikarz Łodzi odszedł na zawsze.

T.P.

kach. Rzecz dzieje się w przedrewolucyjnej Rosji. Sagan szczególnie pieczołowicie opiekuje się teatralnymi losami swego dramatu: grają jej ulubieni aktorzy, a reżyseria w wykonaniu samej autorki. Nie opuszcza jej również młodzieńcza łatwość pisania. Podobno na jednej z prób, kiedy zabrakło Juliette Greco Sagan w przeciągu 15 minut przerobiła spota scenę, tak, by obyło się bez chorej aktorki.

★

19 stycznia rozpocznie się w Monaco IV Międzynarodowy Festiwal Telewizyjny. Udział w konkursie na najlepsze widowisko telewizyjne zgłosiły 73 kraje, między innymi Anglia, Japonia, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Organizatorzy Festiwalu starannie dobrali festiwalowe jury, złożone z międzynarodowych znakomitości teatru, filmu i telewizji. Francję reprezentować będą znani pisarze dramatyczni, członkowie Akademii Francuskiej - Marcel Paquot i Marcel Achard. Pierwsza nagroda tzw. „Złota Nimfa” zostanie przyznana w kilku dziedzinach sztuki telewizyjnej: za najlepszy scenariusz lub adaptację dla celów małego ekranu, za najlepszą reżyserię, za najlepsze widowisko dla dzieci. Osobną nagrodą będzie ufundowana przez krytykę nagroda specjalna za najwyższe osiągnięcia w dziedzinie po-

★

Hold Źski Stany Zjednoczone składają pośmiertnie prezydentowi Kennedy'emu, znajdują różne formy wyrazu. Oto niedawno jedna z wytwórni płyt gramofonowych nagrala wybór najważniejszych przemówień prezydenta, 4 miliony owych płyt rozprzedało w przeciągu sześciu dni.

★

Salvatore Dali, znany malarz i rzeźbiarz, zdobywający popularność głównie dzięki swym licznym ekstrawagancjom, nie ustaje w wysiłkach, by utrzymać pozycję ośrodka zainteresowania. Otwarta w Nowym Jorku wystawa Dali, nosi nazwę „Skandal Profumo” i jest plastyczną historią słynnej afery angielskiej. Dali eksponuje na wystawie obraz własny i zrecenzuje je przepięknie wycinkami gazowymi.

# POOLONICA

### O WARSZAWSKIEJ JESIENI MUZYCZNEJ

W czasopiśmie zachodnioberlińskim „Der Monat”, Paul Moor opublikował artykuł pt. „Warschauer Musikfest” w którym m. in. czytamy: „Starytyś mógłby bez większego trudu wykazać, że żaden inny kraj, biorąc pod uwagę liczbę jego ludności, nie doprowadził do takiego rozkwitu sztuki jak Polska. Jedną z wielkich manifestacji tej polskiej atmosfery powojennej stały się festiwale muzyki współczesnej, zorganizowane po raz pierwszy w r. 1956 pod nazwą „Warszawska Jesień” i od tej pory odbywane rokrocznie w stolicy kraju. Był to obecny na czterech imprezach, w tym na pierwszej i ubiegłorocznej i było dla mnie prawdziwym szczęściem móc stwierdzić, jak ta Jesień Muzyczna staje się coraz bardziej jednym z najważniejszych wydarzeń na polu współczesnej muzyki w całej Europie, a może nawet na świecie.”

No cóż - możemy się tylko cieszyć, wiedząc, że ogólna opinia o „Warszawskiej Jesieni” jest jak najlepsza.

**CIEKAWE OPOWIADANIE**  
Miesiecznik „Wort in der Zeit” (Wiedeń - Graz) publi-

kuje opowiadanie, którego autorem jest młody pisarz węgierski, Thomas Tamasdy, urodzony w 1936 roku. Jednym z bohaterów opowiadania pt. „Niemilosierni” jest Polak, a cała rzecz dzieje się w okolicy podgórskiej, może na Węgrzech, może w Polsce, a może gdzie indziej. Przepada w tajemniczych okolicznościach siary zbieracz odpadków, zwany „dzwonnikiem”, gdyż przejeżdżając przez wieś wózkiem zawsze dzwonił. Chłopi idą na jego poszukiwania. Zachodzą do zagrody Polaka, który się ze starym „dzwonnikiem” przyjaźnił. Posadzają Polaka o morderstwo. Wówczas zjawia się również wnuczek „dzwonnika”, lekarz i mówi: „Wyszedł go nie kochali, on was nigdy nie obchodził, wy jesteście niemilosierni”. Chłopi, jakby porażeni, cofają się a gdy Polak napiera na nich z oskarżeniami, wracają z poczuciem winy do domu. Opowiadanie zasługuje na to, aby je przełożyć na język polski.

### JESZCZE O „NOŻU W WODZIE”

Niezależne czasopiśmie studenckie „konkrekt” (Hamburg) zamieszcza recenzję o filmie

Polańskiego „Noż w wodzie”. Recenzent uważa, że jest to pouczający film, kontynuujący piękna i surowa sztukę Brechłowska, i kończy recenzję słowami: „Odmienne niż w filmach krótkometrażowych, demonstruje tutaj Polański nie zwykłego ludzkiej natury nad wszelkimi warunkami socjalnymi, lecz niezależność człowieka od stosunków społecznych.” Nie wiadomo, czy właśnie o to chodziło Polańskiemu, ale przeczytał dobre słowo o polskim filmie - przyjemnie.

### PRZEKŁADY WIERSZY POLSKICH

Najnowszy numer czasopisma „San Francisco Review Annual” zawiera małą antologię wierszy współczesnych poetów polskich, przełożonych na język angielski. Znajdujemy tam utwory Andrzeja Bursy, Jerzego Harasymowicza, Zbigniewa Herberta, Mięczyława Jastruna i Tymoteusza Karpowicza. Również „The Times Literary Supplement” z 2 stycznia br. drukuje wiersz Tymoteusza Karpowicza „Lesson in Silence” (Lekcja ciszy) w przekładzie Adama Czerniawskiego.

### KRYTYCY O SWOJEJ PRACY

W przeprowadzonej przez „Woprosy literatury” ankiecie wśród krytyków radzieckich zabrakł m. in. głos krytyk białoruski A. Łojko z Mińska, który od dawna szczególnie dużo uwagi poświęca literatu-

rze polskiej. W 1959 roku ukazała się jego monografia „ADAM MICKIEWICZ. A LITERATURA BIALORUSKA”, zaś w 1953 roku „BIALORUSKO-POLSKIE ZWIĄZKI LITERACKIE”.

Nie możemy nie nikomu podsuwać, ale zwracamy uwagę naszych magistrantów i doktorantów z filologii polskiej na te tematy, następujące obfite materiały i opracowań w dwóch językach: Łojko nadal śledzi tradycję mickiewiczowską we współczesnej poezji białoruskiej oraz zapowiada monografię, poświęconą poetom białoruskim z lat 20 i 30. Należy przypuszczać, iż znajdzie w niej i poeci przez wiele lat pomijani milczeniem.

### KONCERTY

„Sowietskaja kultura” pod wspólnym tytułem „Polscy artyści w ZSRR” omawia w dwóch artykułach niedawne koncerty wykonawców polskich, entuzjastycznie oceniając Hesse-Bukowską, śpiewaczkę Zofię Janukowicz i in.

O organowym koncercie Bronisława Rutkowskiego dowiadujemy się, iż szczególnie silne wrażenie wywarł jako wykonawca utworów włoskich, francuskich i niemieckich kompozytorów z XVI - XVIII w.  
„Słuchacze byli głęboko wdzięczni artyście, odbywając wraz z nim czarującą podróż w świat piękna...”





KSIAZKI - WIDMA

Sprawa papieru nie schodzi ze szpalt naszych tygodników i miesięczników: pisma są w potrzebie, bo ilość papieru, którą redakcje mogą dysponować, jest zbyt mała, ale pismom nie chodzi już tylko o własny los. Chodzi o coś więcej. Nie tak dawno relacjonowałem na tym miejscu alarmujący felieton Iwaszkiewicza, opublikowany w "Twórczości". Temat podjęła teraz "Polityka", "w pewnych środowiskach warszawskich" - czytamy w ostatnim numerze w artykule Jana Okopienia "Książki - widma" - dość odległych od problematyki wydawniczej, kraj



ży wieść, że w odpowiedzi na liczne apele i prośby czytelników wznowiona została... TREĐOWATA Mniszkówny. Kiedy jednemu ze znajomych, informującemu mnie szeptem o tej rewelacji, zwróciłem nieśmiało uwagę na fakt, że nikt nowego wydania książki nie widział, mój rozmówca zamknął mi usta krótkim: "Fanie, a gdzie Pan widział POLSKIE JAGIELLONÓW?" "Któż nie dostrzegłby zmian jakie zaszły w modelu kulturowym naszego kraju? Zmiany trwałych, bo określających również przyszły kształt procesów kulturalnych: i to określających na wiele lat. Zmiany są widoczne. Nie ma w księgarniach ani TREĐOWATEJ, ani bryków, ani literatury pornograficznej. Nie ma i nie będzie. Ale modelowanie kultury nie polega tylko na odcinaniu tego, co nieprzydatne, bo chore lub tandetne. Polega także na

pielęgnowaniu tego, co przydatne. Cóż z tego, że nie ma "Tređowatej"? Nie ma również "Polski Jagiellonów". Cóż z tego, że w księgarniach nie ma bryków, gdy nie ma również ZEMSTY czy TRYLOGII? Okopień ma, niestety, rację, liczba książek-widm, książek, o których słyszeliśmy, ale których nigdy nie przeczytamy, bo ukazały się w druku, a nie ukazały się w księgarniach, rośnie zaskarżająco. Od miesiąca krąży po Łodzi niejasne pogłoski na temat znakomitej ponoć książki Biłostockiego SZTUKA CENNIJSZA NIŻ ZŁOTO: była, będzie, może będzie? Wszyscy o niej słyszeli, nikt jej nie czytał i w księgarni nie widział. Co będzie dalej? Nie wiemy. Nakłady są coraz mniejsze, jeśli tak dalej pójdzie, wrócimy być może do czasów Sredniowiecza: autor będzie przepisywał osobiście swe dzieła i dostarczał na rynek kilka lub kilkanaście egzemplarzy. Lub do czasów wspólnoty pierwotnej: jeden egzemplarz książki, wykuty w kamieniu, do użytku publicznego, to wystarczy.

25 LAT

Minęło 25 lat od śmierci Osipa Mandelsztama, jednego z największych poetów słowiańskiego terytorium językowego. Nazwisko Mandelsztama związane jest z Polską, wielki poeta urodził się w Warszawie, stąd może - choć na pewno nie tylko stąd - wytrwała sympatia Mandelsztama dla tego, co polskie. I stąd może - choć również nie tylko chyba stąd - wytrwała sympatia Mandelsztama dla wierszy Mandelsztama. Rocznicę zauważyła u nas, niestety, tylko "Współczesność",



drukując felieton Andrzeja Drawicza i jeden wiersz Mandelsztama. Inne pisma owej rocznicy nie zauważyły. Nic dziwnego, pamięć nie wszystkim w równym stopniu dopisuje, podziękujemy jednak "Współczesności" i Drawiczowi: Osip Mandelsztam, człowiek kruchy i wrażliwy, mężnie spotkał swój tragiczny los, choćby dlatego warto było go przypomnieć. Urodził się wśród nas, choćby dlatego. Los je-

go podobny był do losu wielu polskich poetów, choćby dlatego.

BYŁA OKUPACJA

Polecamy jeszcze uwadze Czytelników wydrukowany w ostatnim numerze "Życia Literackiego" tekst Andrzeja Kijowskiego "Była okupacja": wspominając lata wojny, swe pierwsze zetknięcie z fenomenem sztuki i fenomenem pracy, Kijowski kreśli przekonujący wizerunek pokolenia, które dojrzało w latach wojny. Pokolenia, zarażonego niewiarą w ciągłość procesów kulturowych i jedność kultury, pokolenia "optującego bez zastrzeżeń" ale optującego nieszczęrze, wreszcie - pokolenia obojętne na problematykę estetyczną, bo "fatalista urodzony jest obojętny na problematykę estetyczną - zastąpi mu ją socjologiczna i psychologiczna interpretacja faktów kulturalnych; zajmie się fenomenem tworzenia i fenomenem odbioru, ponieważ przesłado go coś w rodzaju niedowierzania, że sztuka naprawdę istnieje, że są ludzie, którzy się tym zajmują". Diagnoza jest przekonująca, wnioski niewesołe: ci, którzy dzielą kulturę na to, co było przed i na to, co było po, ci, którzy nie wierzą, że sztuka naprawdę istnieje, czegoż mogą w sztuce dokonać?

Boiteau

fraszki jana Czarnego ETYMOLOGIA Dlatego żebrak? Dlatego, że brak... GADKA Stabilizacja się przyda... Mówi efemeryda.

MALARZE W DESIE

Mieszka ich w Łodzi ponad 300. Tu malują, wystawiają i - jakże rzadko - sprzedają swe prace. Sprzedają także za pośrednictwem P. P. Dzieła Sztuki i Antyki "Desa". Największym wzięciem wśród klientów "Desy" cieszą się prace Konstantego Mackiewiczza. Poszukiwane są również obrazy Siemińskiego, Turskiego, Siedlanowskiego, Słepikowskiego, Romana. Z młodych zauważyliśmy ostatnio w "Desie" dwa nastroje - pejszaże Jeśne Karolczaka. Łódzka "Desa" sprzedaje przeciętnie 15 obrazów współczesnych malarzy miesięcznie. Z reguły (choć nie tylko) są to prace łódzkich ar-



tystów. Z prostego rachunku wynika więc, że statystyczny malarz łódzki sprzedaje w "Desie" 1/20 część obrazu miesięcznie.

Wreszcie ceny... No cóż, są raczej dość wysokie i choć wśród oferowanych prac rozpiętość cen waha się od 500 zł do 5.000 zł, to jednak cena dobrego obrazu dobrego malarza oscyluje wokół tej drugiej sumy. Za 500 zł dostać można zaledwie frywolny rysunek Mai Berzowskiej. Zorientowani są zdania, że gdyby artyści sprzedawali taniej, mogliby z pewnością sprzedawać więcej. Malarze natomiast twierdzą, że jeśli będą sprzedawać więcej prac - wtedy obniżą ceny. "Fatalny krąg nie do rozbicia" - jak mówi poeta.

J. W.

JAN KOPROWSKI

WSPÓŁCZESNOŚĆ i ZAANGAŻOWANIE

W ciągu dwóch dni (17 i 18 stycznia) odbywały się w Warszawie plenarne obrady Związku Literatów Polskich. Nie zajmowano się tam sprawami organizacyjnymi, statutowymi, lecz tym, co jest najważniejsze, to znaczy problemem współczesnej kultury i współczesnego pisarstwa. Było to zarazem wstępne spotkanie pisarzy przed walnym zjazdem, który na jesieni tego roku odbędzie w Lublinie i dokona oceny literatury polskiej powojennej dwudziestolecia. Prof. Jan Zygmunt Jakubowski, były łodzianin, w swoim referacie próbował podjąć ocenę dwudziestoletniego dorobku z tej pozycji, jaką daje nam perspektywa lat i uzyskane w tych latach doświadczenie. Wiadomo nam już dziś, że całą twórczość powojenną można by podzielić na trzy okresy. Pierwszy okres (1945-1948), którego znamię było zaangażowanie i ścisły związek literatury z przyczynami całego społeczeństwa bogactwo i różnorodność form artystycznych i poznawczych. Okres drugi, to lata 1949-1954, znane dziś pod nazwą "epoki schematyzmu i drętwej mowy" kiedy powstało niemalże kilkadziesiąt, bo uproszczonych i zwulgaryzowanych do których nikt już nie sięgnie z własnej i nieprzymuszanej woli. I wreszcie okres trzeci, zaczynający się u schyłku roku 1954, kiedy to w Łodzi wystawiono "Laznię" Majakowskiego, a w całej Polsce rozpoczął się proces odnowy życia politycznego, społecznego i kulturalnego.

I oto stajemy wobec pytania, czym było to zbliżające się dwudziestolecie w literaturze, co dało ono pisarzom i społeczeństwu, jakie trwale wartości, w latach tych zrodzone, można wpisać do inwentarza kultury narodowej? Prof. Jakubowski sformułował to pytanie jeszcze wyrazściej, a mianowicie: w jakiej mierze literatura polska dała świadectwo prawdziem naszym czasom?

Odwieczny dylemat naszej literatury nie przestaje nas nękać. Służba społeczna sztuki, czy dążenie do jej unwersalizmu? Pełne zaangażowanie czy uprawa wartości czysto artystycznych? Zerowski, który może być symbolem literatury polskiej, powołany został w referacie prof. Jakubowskiego na świadka koronnego konfliktu pomiędzy obowiązkami patriotycznymi i narodowymi pisarza, a tego naturalnym dążeniem do zrządzenia z siebie nałożonego nam przez historię serwitutu. I cóż się okazuje? Nie ma ucieczki od zaangażowania od służby społecznej, od obowiązku obywatelskiego sztuki. Rzecz sprowadza się raczej do tego, jak najlepiej sprostać artystycznie tym postulatam, niż by się ich pozbyć, bo to - jak uczy nas najnowsze powojenne już dzieje - nie jest chyba możliwe. Literatura współczesna jest literaturą zaangażowaną w szerokim znaczeniu tego pojęcia.

Ale tu znowu jawi się pytanie: czy istnieje u nas literatura współczesna? Czy literatura współczesna - jak zapytał jeden z dyskutantów - jest jeszcze możliwa? Mówiąc to, miał na myśli literaturę wielkich konfliktów naszego czasu, a nie marginesy życia, peryferie wydarzeń czy mikro sytuacje obyczajowe. Jedną z pierwszych książek Jerzego Andrzejewskiego po wojnie to "Popiół i diament" - powieść zanna

żowana, ukazująca istotne i zasadnicze sprawy i konflikty na przełomie okupacji i wyzwolenia. Ostatnia, najnowsza powieść tego samego pisarza, to "Idzie ściszając po górach", której akcja dzieje się w Paryżu, a jej głównym bohaterem jest wybitny malarz francuski: Antonio Ortiz, podobno portret samego Picassa. Czy można mówić, że "Idzie ściszając po górach" to utwor zaangażowany? A jeśli tak, to czy mówi on o istotnych problemach naszej epoki?

Temat współczesny w literaturze można, zdaniem moim, pojmować dwojako: bezpośrednio i pośrednio. W poprzednim numerze "Odgłosów" pisałem o "Śmierci Wergilego" Brocha - powieści, której bohater i cała akcja umiejscowione są w odległej historii, a która przecież jest powieścią w dużej mierze współczesną. Oto przykład tematu współczesnego w znaczeniu pośrednim. Jeśli przyjąć, że dominującym zagadnieniem starożytności były dwie potęgi: sztuka i władza, to jest to również problem żywy i dzisiaj i dlatego współczesny.

Ale w upominaniu się o polską powieść współczesną, nie chodzi o analogie i podobieństwa. Chodzi o podjęcie problemu współczesnego w sposób konkretny, czyli właśnie bezpośrednio. Chodzi o te sprawy i wydarzenia, które zaszły lub zachodzą w roku 1945 w naszym kraju w określonych warunkach historycznych. Czy literatura polska wymierzyła sprawiedliwość tym wydarzeniom, czy dała świadectwo prawdziem jak zapytywał prof. Jan Zygmunt Jakubowski?

Ale odpowiedzi nie dał ani sam referent, ani liczni dyskutanci. Z przebiegu dyskusji, często dość dramatycznej, jedno wynika niezbicie: jawne są spory o sztukę wolną od obowiązku narodowego. Dyskusja na tej sekcji dowiodła po raz nie wiedzieć który, że pisarz polski sam nie chce wyrzec się tego obowiązku. Jeśli literatura nasza oderwie się od historii i dziejów kraju, od spraw i trosk jego społeczeństwa, wyda na siebie wyrok skazujący. Słusznie przypomniał ktoś słowa Sartre'a, który przestrzega pisarzy polskich przed zbytym upodobaniem swoich dzieł do utworów pisarzy zachodnich. Jeśli literatura polska zdobyła sobie w latach ostatnich pewne uznanie za granicą, to przede wszystkim dlatego, że powiedziała o doświadczeniach tam nieznanych, o doświadczeniach naszych, polskich - wzbogacając tym samym dorobek i myśl europejską o nowe wartości. Więc spór ten został już dawno rozstrzygnięty. Mimo to, mus być podejmowany na nowo w każdym czasie, bo każda epoka na te same pytania udziela innych odpowiedzi. Literatura musi również niepokoić sama siebie. Nie może żyć w spokoju samozadowoleniu.

Nie przyjechałszy z tego zjazdu z gotowymi odpowiedziami, saka ma być nasza dzisiejsza literatura. Każdy z nas winien znaleźć odpowiedź w sobie i dla siebie. Ale jedno jest pewne nie będzie to literatura estetyzująca pięknoduchowska. Gorsza czy lepsza, literatura nasza nie może uwolnić się od obowiązku zaangażowania, bo nie zechce stracić wpływu i znaczenia. A cóż warta jest literatura, która na nic nie wpływa i niczego nie próbuje przeobrazić?

"POLONISCHE SATIRE"

Staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki Niemieckiej Republiki Demokratycznej otwarto niedawno w Berlinie wystawę grafiki pn. "Polonische Satire". Wśród wystawiających - nazwiska tużów polskiej satyry rysunkowej - Baraniecki, Lipiński, Linke, Kobylński... Niemieccy organizatorzy docenili (co nie zawsze u nas miało miejsce) wybitne walory satyryczne i oryginalność kreski łódzkiego grafika Karola Baranieckiego - prezentując go największą ilością prac w liczbie aż 23. Nestor satyry rysunkowej Jerzy Zaruba zajął pod tym względem drugie miejsce wystawiając 16 rysunków.

Z łódzkich satyryków na berlińskiej wystawie znaleźliśmy jeszcze prace Jerzego Jankowskiego - Ibsa i Zenona Wasilewskiego. Ekspozycja, którą sygnalizujemy, zanim znalazła się w Berlinie zweđowała pół świata odwie dające Związek Radziecki, Chiny, Koreę i Wietnam.

KSIAZKA O SZOPENIE

W Windsor (Kanada) ukazała się nieduża książka pol-

skiego muzykologa Mateusza Glińskiego pl. "Chopin the Unknown" (Szopen niezany). Autor omawia w niej postawę religijną Szopena oraz broni autentyczności jego listów do Delfiny Połockiej. Jak wiadomo, listy te odnaleziono i opublikowane u nas po wojnie, wywołały wielki spór co do ich autentyczności. Wielu polskich muzykologów i znawców twórczości Szopena uważa, że są to fałszyfkaty, sporządzone przez niejąca już Pauline Czernicką, Mateusz Gliński, jako jeden z niewielu, twierdzi, że są to listy prawdziwe. Większą część swej książeczki, opublikowanej obecnie w Kanadzie, poświęca autor tej właśnie sprawie.

IWASZKIEWICZ I KAWALEC PO ROSYJSKU

Miesięcznik "Inostrannaja literatura", poświęcony przeglądowi literatury i sztuki zagranicznej, zamierza w br. ogłosić rozdział ze "Stawy i chwały" Iwaszkiewicza oraz powieść Juliusza Kawalca "Ziemi przypisany".



POLOINICA



# Bestsellery minionego tygodnia

**FILM**  
POLONIA — „Gdzie jest generał” 14.976 widzów  
WISŁA — „Milioner bez grosza” 10.145 „

**TEATR**  
POWSZECHNY — „Przygoda z Vaterlandem” Kruczkowskiego (3 spektakle) 2.000 „  
„Szkoła obmowy” Bogustawskiego (2 spektakle) 1.100 „  
JARACZA — „Zaproszenie do zamku” Anouilha (4 spektakle) 1.704 „  
„W pustyni i w puszczy” wg Sienkiewicza (2 spektakle) 1.486 „  
NOWY — „Maria Stuart” Słowackiego (3 spektakle) 1.900 „  
„Most” Szaniawskiego (1 spektakl) 550 „

**TEATR MUZYCZNY**  
OPERA — „Verbum Nobile” Moniuszki (2 spektakle) 1.419 „  
„Carmina Burana” Orffa (1 spektakl) 380 „  
OPERETKA — „Sensacje w Londynie” Kawana (6 spektakli) 4.000 „

**FILHARMONIA**  
FILHARMONIA ŁÓDZKA — Koncert z okazji wyzwolenia Łodzi (2 koncerty) 950 „



## TYDZIEŃ W KINIE

I cóż to nas czeka w tym tygodniu? Z niepokojem wertowałam plany repertuarowe Centrali Wynajmu Filmów. Bardzo nieprzyjemnie mi bowiem jest omawiać filmy słańskie, nieciekawo, obliczone tylko na podreperowanie kasy. Ale najbliższy tydzień rozpoczyna przecież wielkie święto kinomanów — Festiwal Festiwalu Filmowych.

Inauguruje Festiwal czeskosłowacki film „Śmierć nazywa się Engelchen” — reżyseria Jana Kadara i Elmar Klossa — nagrodzony Złotym Medalem na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie 1963 roku. Jest to film jakby spokrewniony z polską szkołą filmową — poprzez analogię wydarzeń związanych z walką partyzancką prowadzoną w czasie ostatniej

wojny konfrontuje różne postawy ludzkie — i pokazuje ich związek z dniem dzisiejszym.

„Jak być kochaną” polski film reżyserii Wojciecha Hasa znany jest publiczności polskiej. Wart jest jednak na pewno nie tylko dwu-krotnego obejrzenia, ale na wet trzykrotnego, tak wiele piękności wychodzi na jaw przy dokładnym poznaniu tego filmu. „Tragedia optymistyczna” — to transpozycja ekranowa słynnej sztuki Wiszniewskiego, dokonana przez Samsona Samsonowa. Film użyczał w ubiegłym roku w Cannes nagrodę specjalną „za epopeję rewolucyjną”. Zrealizowany w sposób wybitnie emocjonalny, nie posiada w sobie nic z chłodu klasycznej epiki — jest to gorąca, żarliwa opowieść o ludziach z krwi i kości.

„Sportowe życie” — Lind sava Andersona — to film angielski, w prostej linii wywodzący się z tradycji filmu dokumentalnego, z grupy Free Cinema, tak głośnej przed paru laty. To



Fot. A. Idziński

film psychologiczny, osadzony mocno w rzeczywistym codziennym życiu człowieka z „middle class” — tak rzadko traktowanego poważnie na ekranie.

„I znowu film epicki — „Cztery dni Neapolu” — opowiada o drobnym w skali światowej epizodzie z czasów wojny światowej, o powstaniu w Neapolu, krwa- wu stłumionym przez niemieckich „sojuszników”. W tym filmie dość silnie dochodzą do głosu najlepsze

cechy neorealizmu — ostrość obserwacji, umiejętność dostrzeżenia „duży” tłu.

Jeszcze „Pusty kurs” i „Rece nad miastem”. Są to znowu, tak jak „Sportowe życie” filmy współczesne. „Pusty kurs” jest filmem radzieckim, reżyserowanym przez Włodzimierza Wengierowa, a nagrodzonym „Srebrną Palmą” na Festiwalu w Moskwie w 1963 r. Daleka Północ, śniegi, nadzieja w bazie tran-

sportowej i niebezpieczne przygody zbyt wścibskiego dziennikarza — to uproszczona treść filmu. Urok jego kryje się w subtelnościach fabuły i odwadze twórców. „Rece nad miastem” włoski film Francesco Rosi jest równie odważnym współczesnym dramatem społecznym, pełnym ostrych akcentów politycznych. Film uzyskał Wielką Nagrodę na festiwalu w Wenecji — i złą stawę w kręgu wielkiego kapitału włoskiego.

EW

## Warto posłuchać

Nie ulega wątpliwości, że na koncerty symfoniczne, ucieleszają one więcej niż sama publiczność; mam tu na myśli normalne, cotygodniowe koncerty, a nie nadzwyczajne występy głośniejszych, kiedy to zdarza się, że stałym bywalcom nie udaje się zdobyć biletów, wykupionych z góry przez... snobów. Publiczność koncertowa nie jest oczywiście w swych upodoba-

niach jednolita. Dla jednych momentem najbardziej atrakcyjnym jest osobowość artystyczna dyrygenta, dla drugich solista. Jeszcze inni przychodzą na koncert dla tej czy innej pozycji programu.

Najbardziej dojrzały muzycznie słuchacz przyjdzie lub jutro do Filharmonii, żeby usłyszeć I Symfonię Brahmsa. Pamiętając Rusłana Rajezwa, który przed kilku laty dy-

gował w Łodzi i odniósł duży sukces, mogą oczekiwać interpretacji technicznie poprawnej i muzycznie interesującej.

Dla sporej grupy słuchaczy, najwspanialszym wiecieniem muzyki jest Chopin. Tych w bieżącym programie zainteresuje głównie koncert fortepianowy e-moll, w którym wystąpi po raz pierwszy zresztą w piątkowym koncercie od czasu swego dyplomu (1960) młody pianista — wychowanek łódzkiej PWSM Aleksander Koniecki.

„Nowoczesnych” wreszcie zaprapuje niewątpliwie utwór w Łodzi zupełnie nieznanymi „Diverimento” młodego kompozytora bułgarskiego Pencza Siojanowa (ur. 1931), którym Rusłan Rajezew reprezentuje

współczesną muzykę swego kraju.

Pierwsza symfonia Johanna Brahmsa e-moll op. 68 nazywana czasem „dzieciątą symfonią” Beethovena może być dziełem istotnie pewnym, niezaprzeczalnym z twórcą „Eroiki”, co w naszym jednak nie umniejsza jej oryginalności i trwałej wartości. Z pewnością są tacy, których muzyka Brahmsa nuży. Już za życia kompozytora świat muzyczny podzielił się na jego zwolenników i przeciwników. Pochwała, czy tym bardziej jakaś obrona Brahmsa jest jednak rzeczą najzupełniej zbędną. „Brahms jest jak piękna praca. Bogactwo tej żywej dojrzałości, sta- wa go w rzędzie największych, tych, którzy się nie my-

lą, bo przemysłili wszystko, co odczuli”. (Z. Mycielski).

Pianista, który decyduje się dzisiaj w Polsce grać publicznie w Filharmonii jeden z koncertów Chopina staje przed niełatwym zadaniem. Nie tylko dlatego, że to są utwory pianistycznie trudne. Rzecz w tym, że obydwa: e-moll i f-moll były już wykonywane niezliczoną ilość razy i to przez najwybitniejszych mistrzów klawiatury. Zafrapować może już tylko wykonanie bardzo wysokiej klasy. To też Aleksander Koniecki, który pracuje obecnie nad repertuarem chopinowskim pod kierunkiem prof. Drzewieckiego, przygotował się do swego występu bardzo starannie.

Z. G.

## Książki

PIW wydał tom opowiadań Stanisława Kasprzysia- ka RAZ NA KILKA LAT. Autor ur. w 1931 r. w Zamoczu (w 1955 r. ukończył studia na Wydziale Architektury w Krakowie) otrzymał za te opowiadania III nagrodę w Międzywydawniczym Konkursie w r. 1962. Na tom składają się opowiadania: „Raz na kilka lat”, „Szcz-

niaczek”, „Tyle tych popołudni”, „Kuracja”, „Kryształnacht”.

NAD NIDA, almanach Ziemi Kieleckiej (Wydawnictwo Łódzkie) gromadzi utwory poetyckie i prozatorskie grupy „Ponidzia” nagrodzone i wyróżnione w konkursie ogłoszonym w Roku Ziemi Kieleckiej.

Czytelnikowska seria „Głów Wawelskich” wzbogaciła się o następną cenę pozycję. Jest nią wznowienie „GŁOSÓW W CIEMNOŚCI” Juliana Strykowski. Krytyka — jak pamiętamy — zgodnie uznała właśnie tę książkę za najwybitniejszą osiągnięcie pisarskie autora BIE-

GU DO FRAGALA I CZARNEJ ROZY.

SPOSÓB BYCIA — nowa książka Kazimierza Brandysa (Wyd. „Czytelnik”). O Brandysie wiele już napisano, pisarstwo Brandysa, jak recenzuje Artur Miedzyrzecki, jest właściwie trwającą w literackim zapisie historią czterdzięciu, jego nadziei, dramatów, zasadzek, jego ruchu idei, jego spieć i powikłań. Warto przeczytać SPOSÓB BYCIA, chociaż przyznając, że książka mniej mi się podoba, niż cykl powieści: MIE DZY WOJNAM!, niż LISTY DO PANI Z. Ale: już Cervantes wpadł na bardzo oryginalny pomysł, mianowicie,

aby zachęcić czytelników do swojej powieści DON QUICHOT, napisał o niej bardzo złą recenzję. Sposób poskutkował. Niechże więc czytelnicy osadzą czy i moja uwaga na uwagę o książce Brandysa nie służy temu samemu celowi.

Wreszcie: warto nie tylko kupić, ale stale zaglądać do NOWEGO WYBORU WIER-

SZY Jana Huszczy. Huszcza wydał dotychczas 19 tomów prozy, poezji. Bardzo cenię zwłaszcza liryki Huszczy. Co trzeba jeszcze przy okazji podkreślić. Nareszcie Wydawnictwo Łódzkie zdecydowało się na oprawianie o cenniejszych pozycji. WIER-SZE Huszczy wyszły w pięknej oprawie okładki projektował Zdzisław Głowacki.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 95, Tel. 244-79  
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 41 kwartalnie zł 15  
Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Hetmowski  
oraz PUPK „Ruch” — z zaliczeniem: na „Odgłosy”.  
Druk: RSW „Prasa” Łódź, Zwirki 17,  
Zam. 173 I 4 F-4



...Piszecie, że kolumna poświęcona klasykowi literatury tatarskiej Kutujowi („Odgłosy” nr 3) jest „pierwszym w prasie łódzkiej hołdem złożonym pamięci żołnierza-poety, który znalazł śmierć, aby miasto to żyło”. Kto, jeśli tak można zapytać, odkrył Kutuja? Oto pytanie, które nadeszło do redakcji. Odpowiadamy: „Odkrył” Kutuja zawdzięczamy badaniom Tadeusza Chróścielewskiego i poety rosyjskiego Wasyla Kocznowa. Prozę Kutuja, która drukowaliśmy w poprzednim numerze, tłumaczył Tadeusz Chróścielewski.

A oto fragmenty innych listów. „W „Odgłosach” — pisze p. Zyta Banaszek z Łodzi — podoba mi się to, że zamieszczacie utwory młodych pisarzy i poetów ziemi łódzkiej. Natomiast odczuwam brak stałej kolumny z życia kulturalno-oświatowego Łodzi i województwa. W kolumnie tej chciałabym zobaczyć co tydzień krótkie informacje o pracy domów kultury, klubów młodzieżowych, zespołów artystycznych oraz o życiu i pracy działaczy kulturalnych. Moim zdaniem, „Odgłosy” mało miejsca poświęcają problemom wychowania młodzieży i starszego społeczeństwa...”

W inny krąg zagadnień wprowadza nas list p. D. M. (nazwisko do wiadomości redakcji), która, jakkolwiek nie mieszka w Łodzi, to jednak jako „rodowita łodzianka” interesuje się wszystkim, co dotyczy jej miasta. Pani D. M. wyraża pogląd, że „Odgłosy” zbyt mało poświęcają miejsca wyższemu uczeniu. „W ogóle przydałoby się trochę wywiadów z naszymi naukowcami i reportaży z wyższych uczelni. Myślę, że te sprawy zainteresują łódzką inteligencję, bo część jej to właśnie absolwenci łódzkich uczelni. Łódź przecież tak walczyła o wyższe uczelnie w okresie międzywojennym...” W dalszym ciągu listu p. D. M. wnosi o „popularyzowanie łódzkiego środowiska literackiego i plastycznego, a także aktorskiego. Niech „wiemy nad czym pracują łódzcy literaci i plastycy. Jakie role przygotowują aktorzy. Sądzę, że wtedy wszyscy „oni” staną się bliżej łodzianom, a łodzianie im”. Ostatnia sprawa, która poruszyła p. D. M., dotyczy historii dawnej Łodzi. „Młodzi łodzianie mało o niej wiedzą. Z pewnością chętniej wiedzieć więcej. Może uda wam się publikować zdjęcia z dawnej Łodzi. Może udałoby się publikować je — powiedzmy raz w miesiącu — na wkładce z lepszego papieru. Można zrobić wtedy cieńszy numer lub podwyższyć cenę”.

Pomysł interesujący, ale obecnie jeszcze nie do zrealizowania. Przyszłoby, jak się wszyscy orientujemy, są liczne, a m. in. brak papieru. Miejmy jednak nadzieję, że z czasem sytuacja na rynku papierniczym się poprawi i wówczas będzie można pomysł o różnych ulepszeniach i innowacjach. Trzeba jednak podkreślić, że listy, które przychodzą do redakcji, są dla nas bardzo pomocne. Podkreślaliśmy już to, że wielu czytelników zwraca uwagę na brak problematyki tzw. terenowej w piśmie. Pragniemy więcej uwagi poświęcić tym zagadnieniom w numerze bieżącym, na przykład, zajmiemy się Piotrkowem. Przyjdzie kolej i na inne tereny.

Na zakończenie „serdeczny, bratni uścisk ręki” od czytelnika z Litwy, P. Piotr Granicki, który jest naszym stałym czytelnikiem, pisze m. in.: „Ucieszyłem się bardzo, że pamiętacie o mnie... życzymy wam sukcesów w pracy, czy słyszeście nadane przeze mnie za pośrednictwem Radia życzenia?...” Za życzenia dziękujemy, pismo wysyłamy nadal.

PS. Nagrody książkowe za „korespondencje tygodnia” otrzymują: Hugo Herrmanns z NRD, Krystyna Mallinowska z Łasku, p. D. M. Fabianiec. Książki wysyłamy pocztą.

Przepraszamy p. Tomasza Kiesewettera za zniekształcony druk jego nazwiska w poprzednim numerze tygodnika.